Nr. 18. Poznań, Niedziela 5go maja 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Pogrom Koźmiana.

(K. Bartoszewicz. Rok 1863. Historya na usługach ludzi i stronnictw.)

Czytelnicy „Przeglądu“ przypominają sobie zapewne obszerną krytykę „Rzeczy o roku 1863“ p. Stanisława Koźmiana, którą drukowaliśmy w naszem piśmie. Autor krytyki, znakomity historyk i publicysta Kazimierz Bartoszewicz, wykazywał jak marnym, pełnym fałszów i przekręceń zlepkiem jest owo arcydzieło pana Koźmiana, reklamowane silnie przez cała klikę Stańczykowską. Recenzya ta p. Bartoszewicza była tylko szkicem. który rozwinął na znaczną skalę i wydał obecnie pod tytułem: „Rok 1863 — Historya na usługach ludzi i stronnictw.“ Nie jest to już recenzya, krytyka, ale dzieło wykazujące całą obłudę stronnictwa i przynoszące wiele ciekawych szczegółów i faktów do historyi roku 1863.

Nie będziemy tego dzieła szeroko streszczali, bo właśnie, to co umieszczał p. Bartoszewicz w „Przeglądzie“ było jego streszczeniem. W krótkości tylko zwrócimy uwagę na ustępy i rozdziały całkiem nowe, które nie znalazły miejsca w szkicu napisanym dla naszego „Przeglądu“.

Książkę poprzedza przedmowa autora, w której wykazuje, iż żadne względy osobiste lub stronnicze nie mogą wpływać na jego ocenę wypadków roku 1863 W chwili wybuchu autor był jeszcze dzieckiem, a ze szczupłego jego grona rodzinnego nikt nie należał do organizacyi i nie było w niem nikogo w tym wieku, coby obowiązywał zaciągnąć się do walczących szeregów. Młodzieniec spędził lata tam, gdzie o powstaniu pisać nie było wolno. „Kiedy w Galicyi wrzała w najlepsze walka o to: czy powstanie było potrzebne i kto zawinił, myśmy na bruku warszawskim nie kłócili się, nie oskarżali wzajemnie, a tylko liczyli i leczyli rany zadane. Z młodzieży i starszych, którzy poszli na plac boju, lub należeli do organizacyi, co nie poległo, poszło na Sybir. lub emigrowało. Nie było nawet komu wszczynać wojny domowej — wszyscy co pozostali. byli złączeni, zbratani jedną wspólną niedolą“. To też po przybyciu do Galicyi autor „z uczuciem niewymownej przykrości przyglądał się dziwnemu rozbratowi społeczeństwa, a jeszcze więcej środkom w tej domowej wojnie przez stronnictwa używanym“. To go wstrzymało od zaciągnięcia się pod jakiekolwiek sztandary. Pozostał bezstronnym widzem, a stąd nie ma uprzedzeń ani do ludzi, ani do stronnictw, a dzieło p. Koźmiana „brał do ręki tak jak każdą pracę historyczno-polityczną z ciekawością, co się w niej znajduje i czego z niej się dowie“.

Po tem określeniu swego stanowiska przystępuje p. Bartoszewicz do recenzyi dzieła p. Koźmiana. Ramy pisma tygodniowego nie pozwalają nam iść krok za krokiem i wykazywać całego szeregu kłamstw i sprzeczności, jakie wylicza autor p. Koźmianowi. Niektóre z nich zresztą są już znane czytelnikom, a więc poprzestaniemy na przytoczeniu całkiem im nieznanych i więcej rażących.

Jak wiadomo p. Koźmian na początku swego dzieła chwali się, że znalazłszy w Krakowie po wybuchu powstania konserwatystów „przerażonych i bezradnnych, umiał znaleść dla nich sposoby wyjścia i zachowania się.“ Pan Bartoszewicz przedstawia w dłuższym ustępie kto to byli ci konserwatyści bezradni. a samo wyliczenie nazwisk wykazuje jasno, iż w Krakowie wówczas znajdowały się najtęższe, najdzielniejsze głowy partyi konserwatywnej. Byli to ludzie powagi, znaczenia, ogromnych wpływów, zasad wyrobionych. a przytem ludzie odznaczający się stanowczością zdania. „Pewność pana Koźmiana, że to on ich wyrwał z bezradności jest zaiste rozczulającym objawem wiary we własną potęgę umysłową.“ Ale pewności tej fakta zaprzeczają — i tu p. Bartoszewicz przytacza dowód za dowodem, że ci konserwatyści, przy których p. Koźmian był zerem, mieli swoje o wypadkach wyrobione zdanie, że koźmianowskiego głosu nawet nie słuchali.

Dalej łapie p. Bartoszewicz p. Koźmiana na kłamstwie tyczącem się mniemanych stosunków jego z „białymi“ warszawskimi. Rzecz to wprawdzie drobna, ale charakteryzująca p. Koźmiana, ponieważ jedyny fakt, jaki na poparcie twierdzenia swego podał, okazuje się kłamliwym.

W dalszym ciągu mamy charakterystykę źródeł p. Koźmiana, charakterystykę, która nas upewnia, iż p. Koźmian poprzestał na przepisywaniu i to niedokładnem, często umyślnie fałszywem, „Czasu“ z roku 1863.

Opuszczamy następujący rozdział, ponieważ umieszczony był prawie całkowicie w naszym „Przeglądzie.“ Zaznaczamy tylko, iż uzupełnił go p. Bartoszewicz wyjątkami z nadzwyczaj rzadkiego pisma „Naprzód“ wydawanego w r. 1863 przez Szujskiego. Wyjątki te służą za dowód niezbity, iż cały ustęp o Szujskim w dziele p. Koźmiana jest znowu od początku do końca kłamliwy.

W pierwszej części następnego rozdziału zajmuje się p. Bartoszewicz z właściwym sobie talentem krytycznym sprawą dymisyi Rady stanu, o czem tylko nawiasem wspominał w naszym „Przeglądzie“. Z przedstawienia przez niego rzeczy okazuje się, że p. Koźmian nietylko nie ma pojęcia o tym fakcie, ale że go znowu wyzyskał kłamliwie dla własnej chwalby. Następuje z kolei znany czytelnikom naszym ustęp o pobycie p. Koźmiana u Langiewicza, ale uzupełniony on został bardzo dokładnem przeprowadzeniem dowodu, że p. Koźmian nie był u dyktatora Langiewicza w Goszczy jako wysłannik Hotelu Lambert — całe więc opowiadanie p. Koźmiana o tem swojem poselstwie jest znowu czystą bajką, napisaną w przekonaniu, że nie znajdzie się nikt, ktoby ją wykazał.

Z kolei zajmuje się p. Bartoszewicz stanowiskiem śp. Pawła Popiela w r. 1863. Stanowisko to bardzo dla Popiela zaszczytne, a będące w skrajnej sprzeczności ze stanowiskiem p. Koźmiana i grona jego przyjaciół politycznych. Z gryzącą ironią przedstawia p. Bartoszewicz kontrast pomiędzy konserwatystami z zasady, a konserwatystami z interesu. Mielibyśmy ochotę cały ten ustęp żywcem przedrukować, ale podobnych ustępów, które zasługują na przedruk jest tak wiele, że musielibyśmy ograbić połowę książki p. Bartoszewicza.

Pomijamy pobyt p. Koźmiana w Paryżu, który w głównych zarysach znany jest naszym czytelnikom, a przystępujemy od razu do rozdziału o amnestyi, z którego dowiadujemy się, do jakiego stopnia p. Koźmian szuka pomocy dla siebie i dla swoich w fałszu, do którego przymiotnik niech sobie sami dorobią czytelnicy. Amnestji ogłoszonej przez cara poświęcił p. Koźmian osobny rozdział. Musimy go streścić, ażeby czytelnik zrozumiał całą potęgę „prawdy“ wychodzącej z pod pióra p. Koźmiana.

P. Koźmian tak rzecz opowiada: 12 kwietnia przed południem przyszedł do redakcyi „Czasu“, gdzie zastał członka redakcyi Szukiewicza, który trzymał świeżo odebrany telegram o amnestji. Car obiecywał wprowadzać dalej reformy, dążące do autonomji Królestwa i „przebaczyć“ wszystkim, którzy złożą broń w ciągu miesiąca. Ważną więc było rzeczą, jak się zachować w obec tego aktu. P. Koźmian opowiada jak przyszli do redakcyi „Czasu“ Adam Potocki i Henryk Wodzicki, którzy byli za bezwarunkowem przyjęciem amnestji. Dalej szeroko opisuje autor Rzeczy jak się z nimi sprzeczał, a po ich wyjściu nie wiedział co czynić, bo dochodziły wieści, że Francya, Austrya i Anglia wystąpią za Polską w Petersburgu. Przyjąć amnestję to znaczyło sparaliżować wdanie się mocarstw, to może znaczyło nawet stawić zaporę utworzeniu Polski niepodległej. Nie

przyjąć amnestji to znowu źle, bo jeżeli mocarstwa nie wystąpią, to amnestja jest jedynym ratunkiem dla kraju, gdyż powstanie bez pomocy obcej pogrąży go w przepaść. P. Bartoszewicz słusznie mówi, iż niepotrzebnie troszczył się p. Koźmian, bo nie od niego zależało wpłynąć na przerwanie powstania; decydować w tej sprawie mógł jedynie Rząd Narodowy warszawski i rzeczywiście zdecydował, odrzucając amnestję, ale p. Koźmian dalej szczegółowo i prawie powieściowo opisuje swoją walkę wewnętrzną. Poszedł wreszcie do właściciela „Czasu“ Kirchmajera, ażeby z nim się naradzić, i kiedy się już długo naradzali, przyszedł posłaniec z urzędu telegraficznego z depeszą donoszącą, że noty mocarstw odeszły do Petersburga. W obec tego nie było potrzeby dalej się zastanawiać: Europa jest za nami, amnestję więc trzeba odrzucić, nie sprzedawać sprawy za miskę soczewicy. Wydał więc p. Koźmian Nadzwyczajny dodatek do „Czasu“, w którym oświadczył się za odrzuceniem amnestji.

Całe to opowiadanie stanowi, jak zaznaczyliśmy osobny rozdział, a oparte jest na tem, iż telegram o amnestji przyszedł na kilka godzin przed telegramem o notach i wskutek tego sprowadził ową straszną walkę w umyśle p. Koźmiana, starcie się z Potockim i Wodzickim, naradę z Kirchmajerem i t. p.

Dajmy teraz głos p. Bartoszewiczowi:

„Nie zaprzeczyłem prawdziwości tego opowiadania (mówi tu p. B. o recenzyi swojej umieszczonej w naszym „Przeglądzie“), bo lubo mogło ono być fantazyą, zdawało mi się, iż trudno byłoby znaleść dowód na to, że p. Koźmian prawi nam bajeczki. Umarli wszyscy czterej świadkowie: Szukiewicz, Potocki, Wodzicki i Kirchmajer — gdzież więc sposób przekonać się, czy p. Koźmian pisze prawdę? Przyznaję, że byłem nieostrożnym, że zapomniałem, iż żyje jeszcze piąty świadek: Dodatek nadzwyczajny do Nr. 83 „Czasu“ z dnia 12 kwietnia 1863 r.“

„Poszukując w ostatnich dniach za czem innem, przypadkowo nawinął mi się ów „nadzwyczajny dodatek“, z którego dowiedziałem się, iż cały rozdział o amnestji w książce p. Koźmiana jest farsą, kłamstwem od początku do końca.“

„Oto pierwsze słowa owego Dodatku: „W ciągu dnia dzisiejszego otrzymaliśmy następujące depesze: Pierwsza depesza wysłana z Paryża 11 kwietnia wieczorem brzmi: Paryż, 11 kwietnia. Noty trzech mocarstw“ — i t. d. Druga dziś po południu otrzymana brzmi: „Petersburg 12 kwietnia. Wyszedł manifest cesarski“ i t. d.

„A więc depesza o notach przyszła pierwsza i ją mógł zastać p. Koźmian 12go przed południem w redakcyi „Czasu“, a nie depeszę drugą o amnestyi, która nadeszła po południu. Całe więc szerokie jego opowiadanie o tem jak walczył sam z sobą, jak ścierał się z Potockim i Wodzickim, wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, bo nawet do owego posłańca, co miał przynieść telegram do Kirchmajera upada najzupełniej tak samo jak i to, że dopiero depesza o notach miała wyprowadzić p. Koźmiana z położenia, w jakie go wtrąciła depesza o amnestji. Nawet w artykule redakcyi, po przytoczeniu tych depesz, umieszczonych w Dodatku, znajduje się wyraźnie zaznaczenie, że manifest amnestyjny „pojawił się nazajutrz“ po wysłaniu not do Petersburga.“

„Niech się więc nikt nie dziwi, iż chrzcząc dotychczas „figle“ p. Koźmiana, „brakiem pamięci“, w tym wypadku nie mogłem się powstrzymać od nazwania ich kłamstwem. I tylko dziwić mi się wypada, iż taki mistrz w tym fachu, taki znakomity teoretyk, w praktyce do tego stopnia pokazał się niezręcznym i nieoględnym.“

Po tym kapitalnym dowodzie jak p. Koźmian nie cofa się przed żadnem kłamstwem, jak nie można wierzyć niczemu, co sam od siebie podaje, nie będziemy już dalej wyliczać rozmaitych jego fantazyi, które p. Bartoszewicz w dalszym ciągu wylicza. Dodamy jeszcze, iż w tej części książki pana B. znajdują się świetne ustępy, tyczące się etyki p. Koźmiana, a jaka to etyka, to chyba każdy się domyśli.

Druga część książki p. Bartoszewicza, z której nie było ani wiersza w naszym „Przeglądzie“, jest pracą oryginalną, kreślącą dzieje akcyi dyplomatycznej trzech mocarstw od wybuchu powstania do końca lipca. Napisał ją p. Bartoszewicz w tym celu, ażeby wykazać z jednej strony nikczemne krętaniny dyplomatyczne, których padliśmy ofiarą, a z drugiej strony, aby pokazać jak kłamliwem jest twierdzenie p. Koźmiana, że przyszli stańczycy byli pchani wyższą koniecznością do wzięcia udziału w ruchu. Całej tej części nie streszczamy, gdyż pozostałby suchy szkic rzeczy, której wagę stanowią troskliwie pozbierane szczegóły, a więc nie streszczać, lecz w całości tę całą część przedrukować by należało, na co naturalnie miejsca nam nie wystarcza. P. Bartoszewicz nie pisze historyi akcyi dyplomatycznej tak jak ją dziś znamy z licznych wydawnictw i pamiętników, lecz pisze na stanowisku obserwatora z r. 1863. Chodzi mu bowiem o to, aby przedstawić, co za czasów powstania wiedziano o tej akcyi, jakie więc ona wrażenie wywołała, do czego mogła zachęcać, lub od czego odstręczać. Tylko w przypiskach wyjaśnia autor wiele szczegółów, oświetlanych dzisiaj przez wydane dokumenty, pamiętniki i t. p. Ponieważ książka p. Koźmiana w pierwszym tomie tyczy się specyalnie Galicyi, przeto do opowiadania swego wprowadza pan B. zachowanie się w Galicyi rządu austryackiego. Prócz tego bada p. B. ówczesną opinię publicystyki polskiej, tyczącą się owej spodziewanej interwencyi europejskiej. Z badań tych widzimy, że właściwie tylko „Czas“, redagowany przez p. Koźmiana, na wielką skalę okłamywał polskie społeczeństwo, przez co wpływał na przedłużanie powstania, które to przedłużanie było stokroć razy większą klęską, aniżeli sam jego wybuch. Na pochwałę dziennikarstwa naszej prowincyi zaznaczyć należy, jak tego dowodzi p. Bartoszewicz, iż dzienniki poznańskie bardzo rozumnie, bo sceptycznie zapatrywały się na krętaniny rządu francuskiego, angielskiego i austryackiego.

W tej drugiej części książki p. Bartoszewicza znajduje się jeszcze jeden nadzwyczaj ciekawy ustęp. Autor opisuje jak po upadku dyktatury Langiewicza władze narodowe galicyjskie zażądały od przybyłych do Krakowa członków Rządu Narodowego, aby zawiesiły powstanie, nie mające już żadnej szansy powodzenia. I wówczas to z protestem przeciwko zakończeniu powstania wystąpili konserwatyści krakowscy, mający nadzieję najzupełniej nieuzasadnioną interwencyi europejskiej. Z faktu tego, opowiedzianego dokładnie, wysnuwa p. Bartoszewicz następujące wnioski: „Była to chwila, w której jeszcze cały system Wielopolskiego uratować by się dało. Wszak ten system nie był jeszcze zniesiony, wszak car zapewniał Napoleona, że pozostawi nietylko dane już ustępstwa, ale jeszcze nowemi je uzupełni (to samo w parę tygodni później obiecywał i w manifeście amnestyjnym). Powstanie byłoby pozostawiło po sobie wiele łez i bólu, ale rany prędky by się zagoiły, a w każdym razie Królestwo nie stałoby gorzej niż przed jego wybuchem. Klęską powstanie już by nie było, klęską się stało jego przedłużenie i tego przedłużenia następstwa. Jeżelibyśmy więc dziś, idąc za p. Koźmianem, mieli poszukiwać najwięcej winnych, jeżeli chcielibyśmy „rozkładać odpowiedzialności“, jeżelibyśmy mieli wykazywać, gdzie był większy „bezrozum, lekkomyślność, a w końcu szał“, to doprawdy mielibyśmy co najmniej do rozwiązania pytanie; czyja większa była wina: czy konserwatystów przedłużających powstanie, czy Komitetu Centralnego, który je rozpoczął? Tak jest, jeżeli rzeczywiście mogło powstanie być zakończonem i jeżeli to się nie stało z winy garstki owych krakowskich konserwatyw-

---

WŁADYSŁAW RAESKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

Scena XI.

Marta, później Wolski.

MARTA.

Poszli... (*idzie do okna, patrzy przez chwilę, potem przebiega scenę szybkiemi krokami.*) Boże! co ja mu powiem? (*Załamuje ręce, rzuca się w fotel i pogrąża się w głębokiej zadumie. Po chwili drzwiami frontowemi wchodzi Wolski*). A! (*zrywa się i biegnie ku niemu*).

WOLSKI.

Marto! (*tuli ją do siebie*).

MARTA.

Zygmuncie! jedyny...

WOLSKI (*wypuszcza ją z objęć swoich, lecz trzyma jej ręce.*)

Czas nagli. Czy wiesz o wszystkiem?

MARTA.

Wiem. Ojciec zabronił i... (*ledwie dosłyszalnym głosem*) zelżył.

WOLSKI.

Co? ten...

MARTA.

To nic. Nie mów ty nic na niego. On ojciec.

WOLSKI.

Ojcostwo nie daje prawa pastwić się nad dzieckiem.

MARTA.

Zygmuncie!

WOLSKI.

Zdzieram niezdrową przesadę, w którą ludzie prawa ojcowskie ubrali. On dwa ludzkie serca z niemiłosiernym cynizmem składa w ofierze społecznym przesądom. A my? Mamyż z pokorą jagniąt iść pod nóż kapłański?

MARTA (*cicho*).

On ojciec.

WOLSKI.

Ojciec? Więc na targ nieś serce, bo tak pan twój każe. Ojciec? Cóż z tego? To wróg!

MARTA.

Zygmuncie! nie mów tak. Mur czarny między nami... Ja się boję... Czego ty żądasz odemnie?

WOLSKI.

Ten mur czarny my w proch roztrącimy, tylko ty bądź silną. Wobec świata i przeciw światu stańmy nierozłączeni.

MARTA.

Przeciw ojcu? Nie nie... to słowo strachem przejmuje,... ja nie mogę Zygmuncie.

WOLSKI (*błagalnie*).

Nie mów tego, nie mów...

MARTA.

Widzisz... przysięgam... tych siwych włosów się lękam. Życie moje bez jutra, ale tak być musi... musi.

WOLSKI.

Zgasiłaś słońce... (*słychać grzmot oddalony za sceną.*) Idź już... (*gwałtownie*) idź helotko konwenansu, gdzie roje marjonetek salonowych czekają na ciebie.

MARTA.

Miej litość...

WOLSKI.

Idź i zbieraj liście zwiędłe w ogrodzie ojca twego, a jeżeli one mówić ci będą o ruinach życia, to napisz sonet i zapomnij.

MARTA (*chwyta go za rękę*).

Nie bluźnij Zygmuncie, bo tu straszny ból. (*Wskazuje na serce. Słychać grzmot silniejszy.*) Strach mnie ogarnia (*tuli się do niego*).

WOLSKI (*chwyta ją namiętnie w objęcia*).

Przebacz... ale sam już nie wiem, co mówię, co się dzieje ze mną. Nie! nie! Ty nie opuścisz, bo śmierć bez ciebie i pustka.

MARTA (*słabym głosem*).

Mrok duszę ogarnia i sama nie wiem, gdzie Bóg, a gdzie szatan.

nych mężów stanu. to cała odpowiedzialność za klęskę spada na nich, to nie oni powinni byli później na krzyż innych wbijać i potępiać, lecz sami powinni byli być ukrzyżowani i przez ogół potępieni“.

Na historyi akcyi dyplomatycznej kończy się pierwszy tom studyum p. Bartoszewicza. Tom drugi, jak się dowiadujemy z umieszczonego na czele książki zawiadomienia, będzie obejmował szkic udziału Galicyi w powstaniu roku 1863, dokończenie rozbioru Rzeczy pana Koźmiana. oraz ogólne uwagi nad traktowaniem wypadków roku 1863 ze stanowiska narodowego.

Trudno nie przyznać pewnej zasługi panu Koźmianowi. Gdyby nie jego tendencyjna i fałszywa Rzecz o r. 1863, nie byłoby książki p. Bartoszewicza, tak jasno przedstawiającej złą wolę, obłudę i „budowanie na kłamstwie“ ludzi, którzy chcą się narzucić społeczeństwu na moralnych jego przewodników. Gdyby nie p. Koźmian, nie wydobyłby p. Bartoszewicz tylu ważnych szczegółów rzucających światło na wypadki r. 1863. A ponieważ tych szczegółów jest obfitość wielka, więc znów należy podziękować p. Koźmianowi, że swoją złą i nieprawdziwą Rzeczą dał bodźca do napisania Rzeczy prawdziwej i dobrej.

Krytyka p. Kazimierza Bartoszewicza, ujęta w ramy obszernej historycznej rozprawy, odznacza się wszystkiemi znamionami talentu, któremi autor ten zyskał sobie rozgłośne imię w literaturze polskiej. Objektywizm Bartoszewicza, żelazna logika, temperament polemiczny i szeroka wiedza historyczna podały sobie ręce, aby zagasić sztuczne blaski, któremi reklama Stańczykowskiego stronnictwa ozdobiła książkę p. Koźmiana. Dziś z okrzyczanej „Rzeczy“ zostały tylko ruiny świadczące wymownie, że w społeczeństwie naszem nie wolno jeszcze bezkarnie fałszować dziejów w interesie koteryi politycznej.

—ski.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Gazeta Opolska“ poświęca takie uwagi spółce K. H. T.:

„Polakożercza spółka KHT agituje w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich wszelkiemi sposobami, aby tylko żywioł polski zgnieść i zniszczyć. Nie dosyć na tem, sławetna spółka zamierza także, jak donosi poznański „Tageblatt,“ swoją działalność rozciągnąć na Górny Ślązk.

Co właściwie spółka na G. Ślązku chce robić. tego domyślić się trudno. Wszystkie bowiem ważniejsze posterunki, nadto kapitały w gotówce lub też w fabrykach i kopalniach się mieszczące, znajdują się w rękach Niemców lub żydów. Ślązk niestety od wieków jest zawojowany w swych warstwach górnych.

Spółce KHT. pozostaje więc jedynie walka z ludem. Wprawdzie to wielkie i doniosłe zadanie, ale czy panowie germanizatorzy ze spółki KHT. oddają się rzeczywiście tej nadziei, iż chłopi i robotnicy polscy pozwolą się przez nich zawojować, gdy się oparli wielkiej wojnie, wypowiedzianej im przez ks. Bismarcka.

Potęga ludu polskiego na Ślązku jest silniejszą, aniżeli wszelkie zapędy, podobnych związków, jak spółka KHT.

Ślązk spał — książę Bismarck go obudził — spółka KHT. przetrze mu jeszcze więcej oczy. — Wszystko, jak widać, na chwałę narodu polskiego, który bezwarunkowo nie jest skazany na wymarcie, gdy się z nim tak liczą silni nawet przeciwnicy.“

—

Berlińska „Gazeta Polska“ (Nr. 33) rozpisuje się w następujących słowach o walkach politycznych w W. Ks. Poznańskiem:

„Współzawodnictwo stronnictw politycznych, dążących różnemi drogami, ale z jedną wspólną myślą i z wiarą w swoje przekonania do celów ogólno-pożytecznych, zawsze wychodzi na dobre krajowi i społeczeństwu, wśród którego się te walki stronnictw rozgrywają. Widzimy tego dowód w stosunkach poznańskich, gdzie coraz żywsze ścieranie się zdań wywołało korzystny dla sprawy ogólnej ruch umysłowy, i przyczyniło się do politycznego uświadomienia szerszych mas ludności. Dwadzieścia lat wstecz mniej było burzliwych zebrań w Poznaniu, ale i mniej ludzi poczuwających się do pracy społecznej. Dziś rzemieślnicy mniejsi więcej biorą udziału w sprawach narodowych, jak dawniej niejeden lekarz, inżynier itd. w miastach nietylko pomniejszych, ale i w samym Poznaniu, dziś robotnicy prości więcej dbają o postęp ogólny narodu, niż dawniej niejeden ziemianin — a inteligentniejsze warstwy tem samem dzisiaj, nie chcąc się dać zawstydzić maluczkim, krzątają się stokroć żywiej około wspólnych prac narodowych. Powodem tego rozbudzenia ducha narodowego, przygotowanego od dawna pracami żarliwych narodowców. jak Marcinkowski i inni, jest wysoko rozwinięte dziś w Poznaniu współzawodnictwo stronnictw politycznych. Byli i dawniej ludzie różnych przekonań, postępowszych i mniej postępowych, ale różnice nie uwydatniały się bardzo, tem więcej, że walka kulturna pochłaniała siły wszystkich bez wyjątku. Równocześnie jednak taż sama walka wciągać zaczęła w zakres pracy narodowej masy ludu, stojące dotąd zupełnie prawie na uboczu, polegające zupełnie na tem, co za nich myśleli duchowni i ziemianie.“

—

Bytomski „Katolik“ (Nr. 50) poświęca dłuższy artykuł ustawie przewrotowej i takie między innemi wygłasza opinje:

„Największe niebezpieczeństwo groziłoby tym pismom, które najgruntowniej lud z wszelkiemi sprawami, mianowicie też społecznemi zapoznawają, które najgłębiej do tych spraw sięgają, które na socyalno-chrześciańskiem stanowisku stoją. Ztąd wynikłaby wielka szkoda dla ludu polskiego, bo właśnie pisma, chcące go wykształcić na prawdziwego obywatela myślącego i działającego w sprawach publicznych. najtrudniejsze by miały stanowisko. Toby mogło doprowadzić do wyjałowienia życia publicznego, odstraszyłoby od zajmowania się gruntownie poważnemi sprawami. przyzwyczaiłoby nas do powierzchowności i cofnęłoby wstecz rozwój ludu polskiego, w czem my przyszłość narodu upatrujemy.

Ze względu tedy na położenie nas Polaków, ze względu na nasze gazety. towarzystwa, zebrania i na rozwój spraw ludowych, mianowicie społecznych na Ślązku, nie pochwalamy nowych paragrafów, ani rządu, ani komisyi sejmowej, ponieważ uznajemy, że one nas skneblują jeszcze więcej i uszczuplą nam swobody i wolności, jakiej nam potrzeba do obrony naszych najdroższych skarbów duchowych i do podniesienia ludu pod względem oświaty i samowiedzy obywatelskiej.

Jeżeli na istotnych przestępców i zbrodniarzy potrzeba ostrych praw, niech będą, lecz powinny tak być ułożone, ażeby porządni obywatele nie zostali przez nie poszkodowani.“

—

„Gazeta Toruńska“ donosi w numerze 98:

„Czytelnicy sobie przypomną, iż poseł nasz p. Czarliński przy obradach nad etatem kultu między innemi przytoczył, chcąc udowodnić, iż inspektorowie szkolni mało uwzględniają katolicyzm w szkołach, że powiatowy inspektor Storz z Mogilna zabronił pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Minister dr. Bosse wonczas wyraził wątpliwość, co do prawdziwości przytoczonego zajścia, przyrzekł atoli zarządzić poszukiwania. Z biegu śledztwa prowadzonego przez radzcę rejencyjnego Scheuermanna z Bydgoszczy dowiadujemy się, że poseł nasz p. Leon Czarliński dobre miał informacye. Oto 1) Prawdą jest, że pan Storz zakazał panu Ostermannowi z Szczepanowa katolickiego pozdrowienia, 2) prawdą jest także, iż pan Storz próbował zaprzeczyć twierdzeniu lecz p. O. oświadczył inspektorowi szkolnemu na konferencyi nauczycieli w Pakości, iż zakaz taki wyszedł z ust pana inspektora i wystosowany był do niego.

Powyższy fakt przekona może pana ministra Bossego, iż słowo „unwahrscheinlich“ (nieprawdopodobne), którego był użył, dając odpowiedź p. Czarlińskiemu, powinien wykreślić z pamięci wtenczas, gdy usłyszy wiadomości o naszych stosunkach szkolnych i kościelnych. Dzieją się u nas rzeczy nieprawdopodobne, ale jednak prawdziwe.“

—

„Kuryer Poznański“ otrzymał z Berlina wiadomość, że Koło polskie potępiło jednogłośnie znany list otwarty dr. Krzymińskiego w sprawie ustawy przewrotowej. We właściwym stylu „Kuryera“ przyczepił korespondent do wiadomości tej ubliżające dla posła dr. Krzymińskiego uwagi, mówiąc o braku inteligencyi politycznej, kompromitacyi itd. Z powodu Kuryerowych inwektyw zamieścił „Orędownik“ następujące komentarze w Nr. 99:

„Możnaby przyjąć 100 na 1, że gdyby poseł dr. Krzymiński był wystąpił z swym Listem otwartym przed znanym artykułem „Kur.“, napisanym na dzień urodzin cesarskich, to „Kuryer“ byłby na niego klątwę rzucił. Dziś już nie posiada tej władzy, żeby klątwy rzucać. Czytelnikom naszym znany jest List otwarty szanownego posła Kujawskiego. Postąpił sobie tak, jak to mu obowiązek względem wyborców nakazywał. Tego listu

---

WOLSKI.

O! pójdź. Poprowadzę cię do wielkiej świątyni, gdzie blaski błękitów i słońca złote i róż kielichy błogosławić będą miłości naszej. Rzuć ich, zapomnij...

MARTA.

Nęcisz... porywasz... a ze mną razem łzy ojca i skargę. Pójdę za tobą, a oni przeklną... nie... nie!

WOLSKI.

Słuchaj mnie Marto! ty w atmosferze salonowej cieplarni, byłaś jak róża dzika i jam tę różę ukochał całą duszą moją. Zostań mi taką i nie zmieniaj się w ten kwiat oranżeryjny, który ludzie zowią dobrze wychowaną panną,... bez woli... bez serca. Ty jesteś krwią moją, bogiem i istnieniem. Słońce kwiatom, a ty mnie do życia potrzebna. Zwiędnę bez ciebie, bo ty wszystko moje.

MARTA *(tuli się do niego)*.

Zygmuncie... jedyny...

WOLSKI.

Pójdziemy razem... i nie odtrącisz i kochać będziesz.

(słychać grzmot silny za sceną)

MARTA *(odsuwa się z przestrachem)*.

Słyszysz? niebo protestuje.

WOLSKI.

Przy mnie nie lękaj się gromów. Zgaszę błyskawice i pioruny zduszę, tylko ty bądź ze mną.

MARTA *(cichym głosem)*.

Tak... tak... niech gromy biją. Mów już, rozkazuj.

WOLSKI.

W domu niewoli śmierć czyha i zniszczenie. Zerwij te pęta, rzuć dom i ojca.

MARTA.

Iść! rzucić ojca? jak to strasznie brzmi.

WOLSKI.

O, stań się orłem mój gołębiu biały i kochaj tak jak orły kochają.

MARTA *(bezdźwięcznie)*

Jak orły... tak! *(słychać grzmot przeciągły i głośny. Marta rzuca się w objęcia Wolskiego i mówi głosem silniejszym)*. Wobec Boga i ludzi jam twoją i niechaj niebo nas sądzi.

WOLSKI.

Tyś moją... moją.

(za sceną słychać głosy zmieszane).

MARTA.

Co to jest? Oni wracają *(wydziera się, lecz Wolski ją wstrzymuje)*.

WOLSKI.

Mówiłaś Marto: „Wobec Boga i ludzi ja z tobą!“ Odwagi! Nierozłączeni będziemy i silni, bo drzeć nie wolno w tym boju o życie.

MARTA.

Tak... tak... przed całym światem... niechaj się stanie. *(Opiera głowę na piersiach Wolskiego. Wchodzi Ostrzyński, a za nim całe towarzystwo.)*

Scena XII.

(Ciż, Warecki, Karol, Ostrzyński, Melanja, Ruszczewski, Leski, Modliński i goście.)

OSTRZYŃSKI.

Brrr! co za wichura!

(Wszyscy spostrzegają Wolskiego i Martę i stają zdumieni.)

WARECKI *(występując kilka kroków naprzód)*.

Co to?... Marto!

MARTA *(podnosi głowę i trzymając Wolskiego za rękę, mówi)*. To mój narzeczony!

WARECKI.

Co? *(milczy chwilę z widocznemi oznakami ambarasu, potem zwraca się do gości z wymuszonym uśmiechem)* Córka moja zdradza tajemnicę... której odkrycie zachowałem dla państwa na koniec wieczoru... *(wskazuje na Wolskiego)*. To narzeczony mej córki. *(Wśród gości ukazują się objawy zdziwienia.)*

(Kurtyna spada)

Akt II.

(Scena przedstawia obszerny pokój (fumoir) w pałacu Wareckich. Na ścianach wiszą sprzęty myśliwskie i kolekcya oprawnych rogów jelenich. W oszklonych szafach widać zbiory książek, na stołach kilka dzienników i przybory do palenia. Przez wysokie gotyckie okna po lewej stronie zaglądają korony drzew. Meble dębowe, artystycznie wykonane. Drzwi od frontu i po prawej stronie).

otwartego partya dworska nie może strawić i parlamentarne Koło polskie ma takich posłów, którzy do jedynego „Kuryera“, którego cała prasa polska potępiła, nadsyłają takie wiadomości. I to mają być posłowie, którzy winni mieć czucie z narodem!

Sprawozdawca poselski do „Kur.“ każe się znów p. Krzymińskiemu uczyć, bo dziś na polityce się jeszcze nie zna, i dowodzi, że skompromitował siebie i swych przyjaciół poznańskich, którzy mu dali wotum zaufania na wiecu. Posłowie parlamentarni uczą się już 4 lata, a nauczyli się przez te 4 lata tyle, że chyba nikt więcej nie mógł się skompromitować, jak Toruń, ich polityka dworska i w końcu pryncypalny ich organ „Kuryer Pozn.“ Nikt chyba dopatrzyć się nie może w partyi dworskiej rozumu politycznego. „Kuryer“, potępiony przez całą prasę polską, tego nie rozumie, bo on w ogóle ciężko pojmuje i umiał tylko klątwami pracować i grozić bojkotem. To było jego wytyczną. Posłowie parlamentarni mimo to do tego wyklinającego organu się zgłaszają. Społeczeństwo polskie rumienić się musi, że ma takich posłów i że w społeczeństwie istnieje taki organ jak „Kuryer“.

„Goniec Wielkopolski“ omawia również w Nr. 99. berlińską korespondencyą „Kuryera“ w sprawie dr. Krzymińskiego i takie wypowiada opinje:

„Co to ma znaczyć? List jest z Berlina — pochodzi od kogoś dobrze poinformowanego o ostatniem posiedzeniu Koła, i robi zupełnie wrażenie, jak gdyby pisał go jeden z posłów. Każe się tego zwłaszcza domyślać kategoryczne oświadczenie o „jednomyślnem“ potępieniu, a następnie i końcowa wzmianka. (O posiedzeniach Koła. Przyp. Red.)

Niemożliwem wydaje nam się jednakże, aby Koło dać miało któremu z posłów polecenie publicznego omawiania wystąpienia dra K.. i to jeszcze w podobny, ze względu na powagę Koła bardzo nietaktowny i nieprzyzwoity sposób.

Nie możemy mieć nic przeciwko temu, że przyjaciel „Kuryera“ donosi mu o czynnościach Koła,

pomijamy bezwzględny ton elaboratu dla wystąpienie p. dra K., którego list do wyborców, sięga, zdaniem naszem, treścią swoją za daleko, lecz ma zupełnie racyą bytu,

ale w obec podzielonego w społeczeństwie zdania co do słuszności lub niesłuszności postępowania p. dra Krzymińskiego, nie wolno jest „Kuryerowi“ pozostawiać ogółu w niepewności co do tego, za co ma być uważanym ów mądry list z Berlina. Ze względu na żądania, jakie społeczeństwo przedłożyło niedawno Kołu, taka bez firmy puszczona w świat notatka wzbudzić musi nowy zamęt i niepokój u tych zwłaszcza, którzy pochwalają krok p. dra K. Kto chce podobną sprawę traktować, musi przedewszystkiem wystąpić jawnie — niech więc „Kuryer“ napisze wyraźnie, że dostał z Berlina takie, wiadomości, — niech doda, że uwagi pochodzą od redakcyi, a nie podaje ich we formie, która jest jakoby podszyciem się pod powagę Koła. Kto ma odpowiadać za prawdziwość i przyzwoitość odnośnego komunikatu, Koło polskie czy „Kuryer“? To należało wyraźnie powiedzieć! „Kuryer“ tego nie zrobił i wyjdzie to na szkodę powagi Koła — jesteśmy tego pewni“.

—

Stanowisku Koła polskiego w obec ustawy przewrotowej poświęca „Orędownik“ w Nr. 95 następujące uwagi:

Organa partyi dworskiej, podtrzymujące na gwałt mocno naruszoną powagę posłów, — nie dla dobra społeczeństwa w pierwszej linii, ale dla fanfaronady powagi poselskiej, stawiają tę kwestyą na odwrot. Odsądzają one społeczeństwo od zdolności, warunków i możności decydowania o takich sprawach, a zdolność warunki, możność i prawo przypisują wyłącznie — posłom. Same tworzą na tym punkcie zasadniczy rozdział między posłami a wyborcami, potem pojąć nie mogą, dla czego trzeszczy i rwie się solidarność. Prawią nam — jak chłopcom szkolnym — bardzo „mądre“ rzeczy:

1, najprzód, że tak ważnę kwestye nie dadzą się w kraju przejrzeć i zbadać, tylko trzeba na to siedzieć w Berlinie;

2, że przy tak ważnych sprawach w ciałach prawodawczych zachodzą stosunki i kombinacye nieprzewidziane, sięgające bardzo daleko, a jednak z dnia na dzień zmieniające się, że się z tem liczyć trzeba, a jak się liczyć, o tem mogą sądzić tylko posłowie, którzy siedzą w Berlinie przy ognisku, w parlamencie, w hucie, gdzie się topią i leją ustawy:

3, że w takich warunkach posłowie polscy w żaden sposób nie mogą się naprzód wiązać żadnem wotum względem swych wyborców i publiczności, by snać — sprawie „nie zaszkodzić“.

Takich „mądrych“ rzeczy uczą nas prawie codzień „miarodajny“ „Dziennik“ i „Kuryer“.

Zaprzeczyć nie można, że w Berlinie, w ciałach prawodawczych posłowie polscy mogą nabrać szerszego i głębszego pogladu na poszczególne projekty i na ich związek z całą fabrykacyą prawodawczą, jako też z przewodnią polityką rządu. Są to bardzo cenne warunki do powzięcia decyzyi względem poszczególnych projektów ustawowych. Ale te cenne warunki nie mają takiego znaczenia, żeby tylko w Berlinie można wyrobić sobie decyzyą o projektach rządu, a w kraju nie. Te cenne warunki mogą wpływać na taktykę posłów naszych w Berlinie, ale nie na decyzyą samą, jakie zająć zasadnicze stanowisko, bo o tem w pierwszym i ostatnim rzędzie, zawsze i wszędzie, decydować może tylko faktyczny stan narodowych interesów naszego społeczeństwa. A ten stan — w obec poszczególnych projektów rządowych — jest często tak prosty i przejrzysty, że znaczenie owych cennych warunków, w jakich się znajdują posłowie nasi przy wyrabianiu sobie sądu i decyzyi, spada do zera. Takie sprawy, jak wniosek hr. Kanitza, jak projekt przewrotowy, jak projekt wojskowy, są tak przejrzyste, że społeczeństwo u siebie w domu może zadecydować o nich bez koniecznej dorady tych, co — „w Berlinie siedzą“, a taka opinia społeczeństwa jest dla posłów naszych także bardzo cennym warunkiem i daje im rzeczywisty punkt oparcia, podstawę moralną.

......Projekt daje rządowi ostrzejsze środki wykonywania swej władzy i te środki odbiją się na nas tak samo, jak się odbiły ustawy przeciw Kościołowi podczas walki kulturnej. Prawdopodobieństwo tego jest wielkie i dla tego społeczeństwo nasze musi być przeciw projektowi.

To powinnoby starczyć posłom naszym

—

Przegląd prasy słowiańskiej.

O powstaniu stronnictwa młodomorawskiego i agitacyi kierowanej w jego duchu z Pragi piszą do radykalnej „Slovacz“!

„Stronnictwo młodomorawskie pracuje obecnie w kierunku uświadomienia ludu morawskiego, pozostającego daleko poza ludem czeskim. Pracę rozpoczęto, zakładając towarzystwa turystów, których celem ciągła styczność z ludem i zaznajomienie się z jego potrzebami, dalej zorganizowano komitety wakacyjne, komitety dla zakładania szkół handlowych morawskich i towarzystwo etnograficzne, — wreszcie postanowiono opiekować się „maticą sokolską“, działać na rzecz agitacyi założenia na Morawie uniwersytetu czeskiego i równouprawnienia języka czeskiego na wyższej szkole technicznej w Bernie.

Obecny ruch narodowościowy i stanowisko jakie Morawianie zajmują, nie stoją w stosunku odpowiednim do siły liczebnej i kulturnej Morawian. Czesi, jak to słusznie profesor Masaryk wykazał w książce „Czeska otazka“ (kwestya), zapominają o Morawianach konsekwentnie.

W ostatnich czasach podjęto na seryo myśl założenia w Bernie narodowego teatru. Bez tej instytucyi nie może narodowość nasza nigdy zdobyć sobie znaczenia. Dalej trzeba nam w Bernie powołać do życia towarzystwo naukowe i artystyczne w rodzaju pragskiej „Umielecka Beseda“.

Zresztą Młodomorawianię dążą na Morawie wszelkiemi siłami do tego, ażeby nastąpiło zjednoczenie wszystkich stronnictw politycznych. Kwestya zjednoczenia stronnictw jest kwestyą osób. Trzeba usunąć kilka osobistości stronniczością swoją skompromitowanych, a cel osiągnięty zostanie.“

* * *

„Slovenski Svet“, organ tryesteńskich Słowińców pisze o agitacyi pangermańskiej na południu Słowiańszczyzny:

„Wielka Germania rozpoczyna u nas agitacyą na wielką skalę. W każdem mieście większem ma ona agencye. Akcyja ta rozszerza się na całą Austryą, Bałkan i południową Rosyę. Tak w Serbii jak Bułgaryi zyskała ona na sile, odkąd Koburg i Milan stali się jej narzędziami. Kraje te dziś już przyprawiają się dla niemieckiego żołądka według recepty wielko-niemieckiej kuchni politycznej.

Akcya ta staje się najruchliwszą w ziemiach słowiańskich, stojących na przedmurzu Chorwacyi i Serbii.

Obojętność narodowa, usuwanie kwestyi narodowościowej na plan drugi jest najlepszym sojusznikiem pangermanizmu. To też w pierwszym rzędzie pracować nam trzeba nad rozbudzeniem samowiedzy narodowej, w obec tego zadania schodzą inne na plan drugi.“

* * *

„Srpski Glas“, wychodzący w Zadorze, pisze o potrzebie pewnego dozoru nad pismami serbskiemi. Dozór taki byłby koniecznym zwłaszcza w Białogrodzie, gdzieby rząd serbski mógł zamiar ten z łatwością wprowadzić w czyn.

Scena I.

Turkiewicz. Marynka.

TURKIEWICZ. (*stawia na stole tacę, na której znajdują się trzy filiżanki czarnej kawy, cukierniczka, karafka koniaku i kilka kieliszków*).

A ty czego się gapisz? Poszłabyś lepiej do kuchni i powiedziała, żeby dla pana Ruszczewskiego był gotowy obiad.

MARYNKA.

Wej! Co też to Turkiewicz za tym starym familjantem wciąż się ogląda. Od rana do wieczora tylko o nim pamięta.

TURKIEWICZ.

Pójdziesz ty sikoro! Wy to tak służbę jak fartuchy zmieniacie, ale ja, mój Boże, 20 lat u Ruszczewskich służyłem. Pana do ślubu, a wielmożną do grobu zawiozłem. (*po chwili*) Potem z torbami wyśliśmy ze wsi i tułali się po świecie, aż nareszcie tu przyszło złożyć stare kości.

MARYNKA.

A bo wam tu nie dobrze?

TURKIEWICZ.

Co ty tam wiesz? Mnie to wszystko jedno, ale panu na popychadło zeszło. (*po chwili*) No! czego stoisz? Ruszaj do kuchni i powiedz, co ci mówiłem, bo wielmożny dla nich na bryczce stare kości strzęsie, a oni mu za to zimny obiad dadzą.

MARYNKA.

Turkiewicz to zawdy musi marudzić i tyla. (*wychodz: drzwiami frontowemi*).

TURKIEWICZ. (*zapala świecę na stole*).

Co mi za panowie! Żeby tylko na żebry nie zeszli.

(*Wychodzi drzwiami frontowemi. Z prawej strony wchodzą Ostrzyński, Warecki i Karol*).

Scena II.

Ostrzyński, Warecki, Karol.

OSTRZYŃSKI.

Kucharz pana hrabiego to mistrz nad mistrzami. Ani u Sachera w Wiedniu, ani u Brebanta w Paryżu takiego majonezu nie jadłem.

WARECKI.

Nim powóz zajedzie wypalimy cygara. Mam nowe Importy: "Prince Wales“. (*Bierze ze stołu pudełko i częstuje Ostrzyńskiego oraz Karola cygarami*). Aromat znakomity.

KAROL.

Ale cena wygórowana.

(*Ostrzyński zapala cygaro o świecę*).

WARECKI.

Dobre cygaro jest nieopłacone.

OSTZYŃSKI. (*puszczając kłąb dymu*).

Zapach wcale niezły, ...bardzo dobry.

WARECKI (*wskazując na filiżanki z kawą*)

Proszę, panie redaktorze. Przy kawie porozumiemy się ostatecznie w sprawie agitacyi wyborczej. (*Wszyscy biorą filiżanki i siadają*).

KAROL.

Czy ten Wisłowski może stać się istotnie niebezpiecznym?

OSTRZYŃSKI. (*wzrusza ramionami*).

Ha! za nami stoi tradycya i przeważna część obywatelstwa, ale jeżeli demokracya weźmie się solidarnie za ręce, to za wybór pana Karola ręczyć nie mogę. Tu przyjść musi do ściślejszych wyborów między nami, a Wisłowskim.

KAROL.

A Niemcy?

OSTRZYŃSKI.

Ci się nie liczą w okręgu naszym, bo garść ich rozstrzelona na cztery wiatry. Tu Polak z Polakiem wezmą się za bary, a taka walka to hazard arcyniebezpieczny. (*po chwili*). Hm! Gdyby tak Wolski, ...jako narzeczony panny Marty, chciał zmięknąć... ba! to główny ich filar i kit solidarności demokratycznej.

WARECKI. (*zdradza ambaras*)

Tak... oczywiście... ale to jeszcze w dalekiem polu. Uległem chwilowemu kaprysowi mej córki, lecz nie wiem sam jeszcze, jak się to wszystko zakończy.

OSTRZYŃSKI.

Święte słowa pana hrabiego, bo ośmielę się zauważyć, że mariaż ten zadziwił nas i przestraszył. Wolski byłby intruzem w rodzinie Wareckich, chwilowo jednak radzę go nie drażnić i sprawę zostawić w zawieszeniu aż do wyborów.

KAROL.

Jeżeli Wolski wejdzie do rodziny naszej, to oczywiście zmienić musi barwę.

„Już niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na to, ażeby kres położyć publikacyom i artykułom uwłaszczającym czci serbskiego narodu, czem są bezprzecznie napaści na Czarnogórę, owe gniazdo sokole serbskie, ku któremu z dumą każdy Serb spogląda.

Chcielibyśmy, żeby Białogród stał się dla Serbów centrum literackiego i kulturnego życia. W Białogrodzie mamy Akademią, towarzystwo Kolarczewa i Czupiszewa, Serbski Księgarski Związek i wiele innych instytucyi. Białogród jest obecnie głównym punktem zbornym Serbów, Czarnogóra na tem polu nigdy z nim konkurować nie będzie, bo jej sława jest innego rodzaju; pozostanie ona na zawsze w dziejach serbskich czemś w rodzaju epopei, jej mieszkańcy bohaterami serbskimi, wykwitem ducha rycerskiego Serbów. Tu jej nigdy pierwszeństwa Białogród nie odejmie.

„Serbowie białogórscy powinni w własnym interesie dbać o to, aby nie krzywdzono niczem Czarnogórców; wszelkie zakusy tego rodzaju, powinny u Serbów znaleźć potępienie.

„Tem więcej wypada Serbom dbać o stosunek dawniejszy, że Czarnogóra nie miesza się do spraw wewnętrznych Serbii, nie uważa żadnego stronnictwa za stronnictwo bliższe sobie. Kiedy w roku 1893 odbył się z powodu rocznicy urodzin Gundulewicza i wystawienia mu pomnika zjazd Serbów w Cetynii, książę Nikita zawezwał wszystkich Serbów goszczących w Cetynii do dworu, bez względu na stronnictwo, do którego należeli.

Były to objawy miłości iście braterskiej Czarnogóry ku Serbiji, z których cała Serbia się odezwała. Wiemy też o tem, że serdecznem było powitanie obu władzców dwóch państw serbskich, kiedy się na pogrzebie cara Aleksandra III król Aleksander z księciem Nikitą spotkali.

Za te dowody sympatyi odwdzięczyli się Serbowie białogrodzcy Czarnogórze tem, że wśród nich znaleźli się tacy, którzy przyczynili się do zredagowania i wydania pamfletu: „Crna Gora na kraju (końcu) XIX wijek".

„Prawdziwą radością było dla nas, gdyśmy się dowiedzieli, że przeważna część prasy białogrodzkiej robotę tę potępiła. Niedość atoli na potępieniu, obowiązkiem byłoby tutaj zapobiedz, aby coś podobnego znowu powtórzyć się miało.

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

MIRON.

Warszawski „Przegląd Tygodniowy" poświęca następujące wspomnienie zgasłemu Mironowi:

„Odlatują po jednemu żórawie, chociaż nowa wiosna się zaczęła... Nowa, ale nie ta, gdy dusze nasze młodzieńcze wzlatały jak ptaszyny nad niwami społecznemi... gdyśmy wewnątrz byli wiośniani żądzą odrodzenia myśli, wiedzy, poezyi i sztuki naszej Cała gromadka pokrewnych, jak klucz żórawi ciągnący z nieznanej krainy, przesunęła się po nieboskłonie, zaszumiały skrzydła wichrem, rozległ się krzyk, który naprożno stłumić chciano bez echa głębokiem milczeniem, i poszliśmy w bój za nowe prawdy, nowe idee, nowe poglądy. Był to piękny widok. nie brakło w tej małej armii ani ciężkiego korpusu uczonych, ani talentów twórczych, które się miały potem stać czołem literatury, ani ciętych krytyków, ani humorystów wyciskających łzy śmiechem, ani bardów promiennych poezyą.

Dziś z falangi tej po kolei odlatują uczestnicy, odlatują samotni ze stanowisk, gdzie ich fala życia zaniosła lub rozbiła i tylko przy każdej świeżej mogile, wspomnienie cofa się do wspólnego ogniska, gdzieśmy kołem zasiadali na literackim wiecu.

Miron (Aleksander Michaux) pierwszy z tej falangi opuścił rodzinne gniazdo, nasz „Przegląd Tygodniowy", pierwszy zerwał się do lotu na szerokim świecie i pierwszy padł strzaskany z podciętemi skrzydłami. Nie na długo przed ukazaniem się „Przeglądu" (1866) Miron wydrukował kilka swych poezyi, ale już w pierwszym lutowym numerze naszego pisma rozpoczął szereg „Listów z ulicy X." i odtąd ciągnie się działalność jego jako publicysty, trwa natężony okres twórczości poetycznej. Niestety, trwało to za krótko, aby ognisty krzak natchnienia oddał wszystkie swe kwiaty matce literaturze. Faktem atoli jest, iż to tylko, co stworzył w okresie „Przeglądowym", to tylko, składa się na jego spuściznę, to tylko opromieniło jego młodą sylwetkę nimbem popularności i uznania.

Z chwilą, gdy poeta Miron dał się uwieść i wstąpił do „Kuryera Warszaw[illegible]", którego redakcyę objął wtedy świeżo Wacław Szymanowski, rozpoczął się łamać jego talent, coraz rzadsze rzucał blaski natchnienia a rozbity dogorywał, jak tląca pochodnia, która się sama trawi i wszystko w koło siebie zatruwa.

Trzeba raz zniszczyć fałszywą legendę o dobrym wpływie Wacława Szymanowskiego na młodzież piszącą! Ówczesny redaktor Kuryerka mógł być człowiekiem dobrotliwym, dobrodusznym, mógł mieć przymioty osobiste cenne dla jego otoczenia i przyjaciół. Niechże jednak ci ostatni, oddając przyjacielowi co przyjacielskie, nie skrywają prawdy literackiej, niech ci, co się zmarnowali w redakcyi Kuryera, nie starają się wspomnieniem wesołego baraszkowania zasłonić rzeczywistości! Nikt nie był gorszym przewodnikiem poczynających talentów nad Szymanowskiego, nikt ich więcej nie zmarnował nad niego! Płytki jego umysł ubrany w pozory naciąganego gwałtem dowcipu, jednostronne z ograniczonością sąsiadujące wykształcenie, fanatyzm, który zawsze cechuje miernotę i nieskończona pycha, pragnąca błyszczenia i przewodzenia, nie nadawały się do roli sternika na ożywczym nurcie literackim. Episierstwo, ciasnota poglądów, a co za tem idzie nietoleransya, wulgarne gusta — stanęły u wrót „kuryerka" zdolności zaś redaktora, dostateczne dla pisemka brukowego z przeznaczeniem lokalno miejskiem, nie mogły sprostać żadnym podnioślejszym aspiracyom literackim. Pod takim sterem mogli się tylko wykształcić Czapelscy, Olszewscy, Skrzyneccy i cała falanga najmarniejszych reporterów kuryerkowych, ale tacy Mironi musieli się złamać bezpowrotnie. W kużni „Kuryera" złoto talentu rozbijało się na najdrobniejsze liczmany dla użytku wymiennych potrzeb brukowej gawiedzi. W kuchni tej oficyny, gdzie panowała Ponsardowska retoryka, a każdą potrawę podlewano sosem episierstwa i blagi, nie mogło przyjść do skutku żadne wykwintne danie. Niech stronna płytkość biografów nie oskarża Mirona o „nerwowość", o „nieodpowiedniość stosunków rodzinnych", o „zawody życiowe", o „namiętności burzliwe", bo nie to na poetę wpłynęło tak źle, ale otoczenie literackie, płytkie i wulgarne, które — zamiast go podnosić, krzepić, bronić — zniżało jego lot i pchało w niezdrową kałużę miejskich drobiazgów, plotek i zabiegów. Niechże ta tradycya o „błogosławionym" wpływie redaktorów kuryerkowych raz weźmie koniec i niechże nasi „publicyści" bieżącego dnia raz się dowiedzą, że talent Mirona nie jest rodem z „Kuryera", ale w „Kuryerze" grób swój znalazł! Publicystom tym musimy jeszcze powiedzieć wprost: nie douczyliście się! Umiera poeta, autor niepośledniej miary i wy w nekrologach nie umiecie nic więcej rzeknąć nad to, co wy-

---

OSTRZYŃSKI.

Pięknie... bardzo pięknie, ale ostrożnie panowie. Ten człowiek to rogata dusza.

WARECKI.

Z czerwoną czapeczką nikt nie wstępuje w progi Wareckich, ale choć Wolski ustąpi, to batalja z Wisłowskim nie wygrana jeszcze. Trzeba wszystkie sprężyny poruszyć, aby przynajmniej część mieszczaństwa w okręgu naszym pozyskać.

OSTRZYŃSKI.

Ja, panie hrabio nie zasypiam gruszek w popiele. Rąbię Wisłowskiego w każdym numerze. Wykazuję, że jego spółka konsumcyjna to cios śmiertelny dla polskiego handlu, a bazar ludowy czysta spekulacya. Zresztą (*przycisza głos*) ten skandal z aktoreczką i małżeńską sceną w hotelu opisałem tak, że ślepy namaca Wisłosia-galanta. Jednem słowem: rąbię, smaruję, żgam, siekam, mówię panom: marmolada!

WARECKI.

To nie dosyć, panie redaktorze. Pismo nasze wśród mieszczaństwa mało jest czytane.

OSTZYŃSKI.

Ha? możeby tak w miasteczku jednem i drugiem bibkę wyprawić. Co? Takie obiadki to nietylko dobrze działają na żołądek, ale i na serce.

KAROL.

Te popularne uczty to męczarnia.

OSTRZYŃSKI.

Trudno! Bez popularności będzie klapa. Przedewszystkiem powinien pan Karol wygłosić w towarzystwach przemysłowych i rzemieślniczych kilka odczytów, a ja napiszę sprawozdanie, — rozumiecie panowie? Potem złożyć należy na oświatę ludową sumkę znaczniejszą, a ja to uwypuklę... oświetlę. Wreszcie, gdy wybory się zbliżą, zwołam zebranie, urządzę bibkę, zaproszę wybitniejszych mieszczan i bądź zdrów panie Wisłowski. (*po chwili*). Ale na to wszystko trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy.

WARECKI.

Chwilowo rzeczywiście jestem w ambarasie. Drenowanie Turowa kosztuje niemało, a mój syn także miał nadzwyczajne wydatki.

OSTRZYŃSKI.

Szkoda, wielka szkoda, bo Wolski odebrał mi dużo abonentów, a tu trzeba opłacać korespondentów, jeździć po wystawach, jarmarkach, zebraniach. — wszystko w agitacyjnych celach, wszystko dla hrabiego Karola.

WARECKI.

Jeżeli koniecznie potrzebujesz, kochany redaktorze, to w przyszłym tygodniu pomyślę o jakiej subwencyi. Ale pilnuj mi sprawy, pamiętaj.

OSTRZYŃSKI.

Już ja swoje zrobię (*pokazuje na czoło*), bo tu główka nie makówka, panowie. (*spogląda na zegarek*) No! A teraz czas na dworzec, konie już stoją. Dziś wieczorem mam jeszcze dwa posiedzenia (*podaje rękę Wareckiemu i Karolowi*).

KAROL.

W tych dniach zresztą będę u pana. Sprzedaję Karłowice i w tej sprawie pragnę z panem pomówić.

OSTZYŃSKI.

Zawsze do usług pana hrabiego. Ale ostrożnie, ostrożnie! (*wychodzi*).

Scena III.

Warecki. Karol.

KAROL.

Czy on domyśla się czego?

WARECKI.

To obojętne. Takim Ostrzyńskim stumarkówką zalepia się usta.

KAROL.

A Ruszczewski zgodzi się?

WARECKI.

To bierna natura. Tak tańczyć będzie jak mu zagramy.

KAROL.

Oby tylko z taktu nie wypadł. Za maską uległości tkwi w tym szlachcicu rogata dusza.

WARECKI.

Chlebem Wareckich żyje lat 15. Wdzięczność zmiękczy jego rogatość. Zresztą nie ma innego wyjścia z tej matni, w którą wtrąciło nas twoje waryactwo.

czytacie w pierwszej zatrutej stronniczością wzmiance w Kuryerku?! Jak jeden mąż wszystkie pisma nasze powtórzyły za „Warszawskim“: „Miron był współpracownikiem „Kuryera“— i pominęły cały okres „Przyglądowy“, jedyną twórczą chwilę w życiu poety, obejmującą wszystko, co najlepszego stworzył. Osiem „Listów z ulicy X“, poruszających w formie żywej, stylem wykwintnym, różne zagadnienia moralne i społeczne (1866—7), ustąpiło w roku następnym seryi „Profilów“, obejmujących energiczne zarysy: Józefa Keniga, Aloizego Żółkowskiego, Wacława Szymanowskiego, Jana Chęcińskiego, Franciszka Kostrzewskiego, Henryka Pillatego. Dalej idą „Fragment“ (1866), „Ze studyów karnawałowych“ (1867), wreszcie najpiękniejsze i najważniejsze: „Bez Boga“, „Ostatni sen Tassa“, „Fragmenty“ (1868) i wszystkie w rocznikach naszego pisma rozrzucone „Sonety“. W tej także epoce Miron stworzył największy swój utwór „Don Juana“, który sam jeden może dać wyobrażenie o kierunku i duchu poety. Czytelnicy i dawni abonenci „Przeglądu“ krótki rozbiór tego dzieła znajdą w 35 numerze naszego pisma z 1869 roku, wraz z treściwą oceną talentu Mirona. Do tego zarysu niewielebyśmy dziś dodać mogli, dalsza bowiem praca poety rychło się urwała. To, co w tym okresie było cennego, weszło w skład dwóch zbiorów: „Pieśni“ (1867) i „Fantazye“ (1870) i objęte jest, nowem w piętnaście lat powtórzonem wydaniem „Poezyi“ (1885). Inteligentny czytelnik prześledzić tam może całą drogę narodzin i upadku poetycznego ducha, wszystkie fazy i wątpliwości szamocącego się talentu. Ale mrok padający na ten szlachetny umysł postępował nieubłaganie, naprożno poeta zrywał się do lotu i jak ptak, któremu strzaskano skrzydła, spadał na ziemskie padoły. Czasami, przynosił nam Miron na wielkim arkuszu krzywo nakreślony czworo- lub ośmiowiersz, którego niepodobna było drukować. Aż w końcu zapomniał o sobie, chodził po świecie z otwartemi oczyma, nie widząc, nie myśląc, nie czując. Śmierć wybawiła go od tej fizycznej męki, bo samowiedza dawno zagasła... A jednak on przecież napisał swej oblubienicy poezyi:

Kochanko cherubów, w laur strojna ponętny
I z srebrną swą arfą tak lśniąca słonecznie,
Kto ciebie ukochał, twym będzie już wiecznie
I w duszy swej, z piekłem tęsknoty namiętnej
Do pieśni, gdy skrzydła rozwiniesz łabędzie,
Choć z objęć kochanki, rwać w górę się będzie.
Kto ciebie ukochał, ty wieków nadziejo!
Ten pieśni nie sprzeda — nie schyli ten czoła,
Lecz z siłą tytana i z sercem anioła,
Za tobą iść będzie — czy gromy szaleją,
Czy cisza drży błoga — o wszędzie, o wiecznie
Kto ciebie ukochał tak lśniącą słonecznie.

Tak, i nie przeniewierzył się jej nigdy, upadł, ale pozostał wierny, a gdy wybiła godzina i żóraw w poranek wiosenny odleciał, współtowarzysze, pożegnajmy go chwilą rozczulenia!... *Nul.*

Nowe kryterium literackie

i kilka ogólnych uwag nie na czasie*)

Przed paru miesiącami ukazała się w Niemczech książka krytyczna p. t. „Walka o osobistość“ (Kampf um die Persönlichkeit). Autor książki zdaje się być młodym człowiekiem, a dzieła jego nie można nazwać bezwarunkowo dojrzałem. Kompozycya pozostawia wiele do życzenia, a pierwotna metoda zszeregowania przykładów, przeplatanych poglądami własnymi, czyni rzecz całą chaotyczną i niedającą zupełnie skończonego obrazu. Jest w niej jednak coś, co pozwala zapomnieć o brakach i wynagradza je w zupełności. Jest w niem w odwaga w obiorze punktu krytycznego widzenia.

Odstępując od dogmatu tak zwanej krytyki naukowej, stawiającej autora w środku tworzenia, aby zeń dojść do zrozumienia dzieł jego, wychodzi autor walki o osobistość od dzieła samego, i z tego stanowiska sądzi o niem i o autorze. Kryteryum literackiem Küchenmeistra jest odporność autora na wpływy postronne, a stopień jej miarą jego wartości. Postawiwszy to założenie na samym początku rozpatruje po kolei wielkości niemieckie i nie niemieckie, a wysuwając na pierwszy plan walkę z wpływami, szuka oceny w przewadze indywidualności autora nad otoczeniem. Küchenmeister żąda nietylko zrozumienia dzieł, ale postanowienia czegoś pewnego o ich wartości, i odpowiada temu żądaniu przynajmniej pod względem kwestyi oryginalności danego autora w sposób pewny. Nie należy tu jednak rozumieć, że chodzi tylko o wpływy z drugiej ręki tj. literackie, lecz o cały sposób patrzenia autora na wszystkie zagadki bytowe.

Rozpatrywanie takie autorów niemieckich na przykład, wywołuje już znaczne zmiany w opinii Küchenmeistra o ich wartości literackiej. I tak niżej staje Gerhard Hauptmann niż stał dotychczas, gdyż dał się zanadto ogarnąć ruchowi społecznemu, i stał się wyrazem pragnień cudzych, podczas gdy mógł był mówić od siebie. Upada bożyszcze sceny niemieckiej Hermann Sudermann, którego powodzenie popchnęło w ramiona filisterstwa i kopiowania samego siebie. Wyrasta natomiast Otto Erich Hartleben, umiejący patrzeć na swe otoczenie z punktu wyższego i dający więcej samego siebie. Wypływa na powierzchnię mniej Franz Evers, bo daje wszystko tak, jak sam widzi, bez względu na opinię i sposób patrzenia otaczającej go większości. Küchenmeister rozszerza zastosowanie swego kryteryum nawet do nauk takich jak historya. Jako przykład historyka — subjektywisty wskazuje Bleibtreua, który braków w źródłach nie waha się zapełniać niejednokrotnie płodami własnej wyobraźni, a w kreśleniu charakterów i postaci dziejowych, kierują się intuicyą.

Można się z Küchenmeistrem nie zgadzać w szczegółach, mogą nawet pojedyńcze ostateczne jego wyniki być fałszywe; wina tego nie będzie nigdy leżeć po stronie założenia, lecz zastósowania i przeprowadzenia, częstokroć powierzchownego. Kryteryum jego ma bądź co bądź tę jedną niezaprzeczenie ogromną zaletę, że w pierwszej chwili zastósowania w ocenie, wyklucza bezwarunkowo każdą odpowiedź dwuznaczną.

Jeżeli kryteryum to zastosuje się do którejkolwiek literatury, to nieodzownym wymogiem i probierzem jej wartości będzie stworzenie własnego odrębnego kierunku. To tylko może być dowodem jej żywotności i jedynym zarazem tytułem prawnym do odegrania ważniejszej roli w ogólnej harmonii literackiej twórczości. Literatury, widziane przez ten prysmat, są dopiero w stanie wykazać całą swą treść wewnętrzną, choć co prawda nie wiele ich zostanie po odrzuceniu tych, które nie odpowiedzą wymogom. Jako przykład posłużyć może najlepiej literatura polska.

„Improductivité slave“ nazywa Sienkiewicz niezdolność najwyższych stanów społeczeństwa polskiego do stworzenia czegoś, zdradzającego wyższy stopień napięcia duchowej energii. Tyle widzą w tem urzędowi tłomacze dzieł literackich, ale jest tam więcej zawarte niż oni raczą przypuszczać. Nazwa ta zawiera w odniesieniu do literatury przeświadczenie, że Polacy nie są zdolni do stworzenia niczego, coby literaturę wszechludzką choć częściowo mogło pchnąć na nowe tory. Sienkiewicz, historyk z zawodu, widział to w historyi, zaś jako obserwator przejawów życiowych spostrzegł to samo i we współczesnem polskiem piśmiennictwie. A przecież nawet Rosyanie zdobyli się w czasach ostatnich na stworzenie kierunku, ci Rosyanie, których do niedawna uważano za niemowlęta na punkcie cywilizacyi i literatury, których przywykło się nazywać barbarzyńcami. Lecz to się da wytłomaczyć. W ciągłej kilkunastowiekowej bezpośredniej styczności z narodami wyższymi pod względem oświaty i cywilizacyi, musieli Polacy stara-ć

*) Udzielając gościnności w łamach „Przeglądu“ rozprawie powyższej, poczuwamy się się do obowiązku. zaznaczyć, że w szczegółach nie zgadzamy się na wszystkie opinje autora. (Przyp Red.)

KAROL.

Ojcze!

WARECKI.

Nie masz nic do powiedzenia na obronę swoją. Stało się głupstwo i kwita. (*Karol robi znak zniecierpliwienia*). Głupstwo! mówię. Ale zapóźno roztrząsać sumienie. Czy zrobiłeś bilans? Ile ci zostanie gotówki?

KAROL.

Jeżeli kolonizacya nie zdusi ceny, którą wczoraj ofiarowała, to po odtrąceniu wekslowych długów i zapłaceniu Leskiego ocalę około 70 tysięcy marek.

WARECKI.

Za mało, żeby żyć, za wiele, żeby umrzeć. Pilnuj konkurów, bo to źle się skończy. Ja sam resztkami gonię, a te ostatki zostać muszą dla Marty. Wstyd mi naszych manipulacyi. Ta gra fałszywa jest wstrętną. (*po chwili*). Słuchaj! A Modliński?

KAROL.

Ofiaruje znacznie mniej od kolonizacyi. Dziś zresztą ma przyjechać dla ostatecznego porozumienia, ale przekonany jestem, że więcej nie da, bo między nami mówiąc, Karłowice więcej nie warte.

WARECKI.

Niech się więc stanie. Zarzynać się nie możemy.

(*wchodzi Ruszczewski*).

Scena IV.

Ciż i Ruszczewski, w końcu lokaj.

WARECKI.

A! Michał! Sprzedałeś pszenicę?

RUSZCZEWSKI.

Sprzedałem Władeczku, a przychodzę powiedzieć, że tu lada chwila przyjedzie Modliński. Spotkałem go w mieście. Pytał się o Karolka.

KAROL.

Czy mówił co o kupnie?

RUSZCZEWSKI.

Nie mówił. Ale to uczciwy człowiek. On nikogo nie skrzywdzi.

KAROL.

Skrzywdzi nie skrzywdzi, — ale nie kupi.

RUSZCZEWSKI.

Hm! to źle, to bardzo źle. Ja liczyłem na niego jak na Zawiszę.

WARECKI.

To dusigrosz stary. Chciałby półdarmo nabyć Karłowice.

RUSZCZEWSKI,

Ja nie wiem i... przepraszam mocno,... lecz zdaje mi się, że Karolek wspominał przed kilku dniami od 70 talarach za morgę. To dobra, wcale dobra cena.

KAROL.

Ba! przy takiej cenie z torbami wyjdę.

RUSZCZEWSKI.

A czy kuzyn ma lepszego kupca?

(*chwila milczenia*).

WARECKI.

Kolonizacya.

RUSZCZEWSKI (*śmieje się*).

Żartujesz Władeczku.

KAROL.

Nic innego mi nie pozostaje.

RUSZCZEWSKI.

Co? przyszły poseł? Kpi sobie pan Karol ze starego kuzyna.

WARECKI.

To nie są żarty, mój drogi. Ta sprzedaż to gwóźdź do mojej trumny, ale cóż robić? Przecież chyba nie wątpisz, że my tę ziemię tak jak ty kochamy, a jednak... (*wzrusza ramionami*) Gdybyśmy Modlińskiemu odstąpili majątek, zostałoby się Karolowi zaledwie kilka tysięcy talarów, a z tego żyć niepodobna.

RUSZCZEWSKI.

Możeby Karolek wrócił na akademią i skończył prawo. Mógłby zasłynąć jako adwokat.

KAROL.

Panie Ruszczewski! co pan bredzi!

RUSZCZEWSKI.

Ja... ja nic nie mówię, ja tylko tak...

WARECKI.

Nie! mój Michale. Żaden Warecki nie był obrońcą złodziei. Karolek zostanie posłem, a jeżeli konkury mu się udadzą, to powetujemy sprzedaż Karłowic.

się o ile to było możliwem nie bardzo zostawać w tyle. Utrzymanie się na na jednej wyżynie było warunkiem bytu, wskazywanym po prostu przez zmysł samozachowawczy. Skutkiem tej dążności dorównania we wszystkiem idącym naprzód narodom było naśladownictwo, a życie umysłowe Polaków do rodzimych warunków mniej lub więcej zastósowaną kopią. Podczas kiedy Rosyanie mniej wystawieni na bezpośrednią styczność z umysłowo wyższym zachodem zdołali aż do chwili pierwszego rozkwitu literatury zachować swą narodową odrębność, zajmowali się Polacy już dawno przesadzaniem płodów gdzieindziej wyrosłych na grunt własny. Nic więc dziwnego, że tylowiekowe naśladownictwo wycisnęło na twórczości literackiej Polaków swe piętno, nic też dziwnego, że płody ich literackie cierpią na ogólną anemią duchową. Dla tego też miarą dla oceny pewnej epoki w literaturze polskiej jest wartość naśladowanej w danej epoce literatury obcej. W ostatnich stuleciach okazało się, że Polacy pomimo wyraźnej skłonności do naśladowania dzieł szczepów romańskich, trwalszą odnieśli korzyść z naśladownictwa literatur germańskich. Okres romantyczny wydał największych poetów polskich, bo głębią treści i szerokością ram artystycznych, dawał większą swobodę rozwoju pierwiastkowi indywidualizmu polskiego niż dać mogło bezduszne naśladowanie wzorów klasycznych. Przyłączyły się do tej świetności wprawdzie i warunki dziejowe, ale twórczość obracała się wyłącznie na drogach utartych przez pisarzy zachodu. Przyznać należy, że gdybyśmy na przykład w dzisiejszym stanie piśmiennictwa europejskiego posiadali pisarzy tej miary i o tak wybitnem poczuciu swej osobistości co Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, zdołalibyśmy może stworzyć literacki kierunek.

Dzisiejsza literatura polska tkwi jeszcze głęboko w odżywianiu tej historycznej już świetności. Po wieku romantyzmu przyszła jałowość i czczość epigonów, przeżuwających romantyczne pierwiastki uczucia. Wypadki dziejowe jak rozdarcie Polski jako organizmu politycznego na części, z których każda musiała się nagiąć do warunków społecznego bytu, uczyniły też swoje, aby życiu umysłowemu nie dać się rozwinąć swobodnie, i stworzyć na dzisiaj obraz, jaki mamy przed oczyma. Pomimo wyjątkowego położenia, pomimo zmiany warunków, pozostała literatura polska do dziś naśladowniczą, a kryteryum K ü c h e n m e i s t r a należy w stosunku do literatury polskiej doby ostatniej zmodyfikować mniej więcej w ten sposób: „Probierzem wartości literatury polskiej, jest stopień zastósowania prądów obcych, do warunków ojczystych.“

Jeżeli na to złagodzone już pytanie zechcemy odpowiedzieć szczerze, to i na nie odpowiedź nie będzie brzmiała korzystnie. W części, pozostającej pod zaborem austryackim, ginie literatura pod naporem polityki dnia i zajmującego się nią dziennikarstwa. W. Księstwo Poznańskie nie ma na nią czasu, bo wyczerpuje je walka kulturna z żywiołem niemieckim. Cóż pozostaje? Królestwo z Warszawą na czele, a tam ani myśl wolniejsza nie ma i nie może mieć ujęcia ani o swobodzie ruchu umysłowego mowy być nie może. Pozostaje więc jedynie to, co było dawniej, naśladownictwo w ciasnych nader granicach, do czego przyłącza się dziwna i głupia odporność wobec wszystkiego, co choćby z lekka trąci samoistnością. Nawet w naśladowaniu rzeczy obcych zachowuje się pewną rezerwę, która jednakże nie jest bynajmniej dowodem rozumu, lecz braku własnej opinii. Wszystko, co nowe, musi się uleżeć aż do uznania przez drugich za dobre, zanim ktoryś z naszych pisarzy zdecyduje się coś naśladować.

Autorowie polscy rozpatrywani z tego stanowiska nie wytrzymują przeważnie krytyki. Wystarczy wziąć choćby dwu największych polskich mistrzów romansu, — gałęzi, przygniatającej swym ogromem wszystkie inne rodzaje literackiej twórczości, Sienkiewicza i Prusa, i zastosować do nich to kryteryum. Sienkiewicz stał najwyżej wówczas, kiedy stworzył rzeczy, nie odpowiadające zkąd inąd wymogom sztuki, tj. swą historyczną trylogią. Nie można o niej powiedzieć, żeby zupełnie była wolną nietylko od bezpośrednich, ale nawet literackich wpływów. Są w nim reminiscencye poezyi francuzkiej z czasów roku 48go, jest w niem nawet żywcem wzięty sposób powiązania pojedyńczych części trylogii, ale są to rzeczy, dotyczące więcej szczegółów, niż rzeczy samej. Można się tu dopatrzyć pewnej świeżości i pierwotności obrazów, jest w niej jednem słowem Sienkiewicz takim, jakim go najwięcej cenimy. W „Bez dogmatu“, książce bezporownania najgłębszej, zeszedł on już do roli ucznia, a mistrzami jego Bourget, Tolstoj, Dostojewski, twórcy powieści psychologicznej. Jeżeli się jednak kryteryum Küchenmeistra zastosuje do Sienkiewicza na podstawie ostatniego jego dzieła „Rodzina Połanieckich“ i z niego zechce wnioskować o jego odporności na wpływy postronne, to krytyka wypaść musi fatalnie. Nie ma tam już ani części subjektywizmu w ocenie rzeczy, tkwiącego w powieściach historycznych, ani wnikania we własną głębią z „Bez Dogmatu“ i pozostaje tylko zwykła, ładnym stylem pisana powieść obyczajowa à la Kraszewski i nic więcej. Jest za to modna w świecie literackim propaganda na rzecz powrotu do religii, którego sztuczność zbyt jasno przebija w niezgrabnem wysunięciu tam, gdzie go najmniej było potrzeba. Nie jest to dla Sienkiewicza problematem, bo w takim razie ujawniłby się we wszystkiem bez umyślnego wysuwania. Jest to tylko owczy pęd za przywódzcami literatury zachodu, Bourgeta, Huysmansa i t. d. i t. d.

W wyższym stopniu wytrzymuje już krytykę Prus. Ten jest przynajmniej nieczułym na wpływy, pochodzące już z drugiej ręki, tj. literackie. Choć więc nie umiał się nigdy wyemancypować od dawania wyrazu opinii pewnej grupy ludzi, czyni to przecież na swój wyłącznie sposób. Główną jednak jego zaletą jest posiadanie oryginalnego ujęcia problematu, co u Sienkiewicza nie występuje nigdy z taką siłą żądzy rozwiązania subjektywnego. Powieści Prusa czynią wrażenie, że dla tego tylko są napisane. Mimo to jednak siedzi ten pisarz zanadto w dążeniach swego otoczenia, a w ostatnich czasach stało się z nim podobnie jak z Sudermanem w literaturze niemieckiej. Powodzenie „Lalki“ popchnęło go do skopiowania samego siebie w „Emancypantkach“ tak, że robią one wrażenie wyczerpania się inwencyi autora. Znowu te same a przynajmniej analogiczne figury obracają się w tych samych prawie warunkach. Występuje tu również ta sama co w ostatniej powieści Sienkiewicza idea reakcyi. Nie razi ona wprawdzie u Prusa tak jak u Sienkiewicza, jest jednak w każdym razie dowodem coraz większego braku „odporności na wpływy postronne“ ze strony autora.

Pomijając dramat w poważnem rozumieniu tego wyrazu, o którym śmiało można powiedzieć, że nie istnieje prawie wcale w najnowszej literaturze polskiej wypada wziąć pod skalpel lirykę. Jeżeli do czego to do liryki da się najlepiej zastosować kryterium Küchenmeistra. Liryk, to subjektywista, a poemat liryczny może być o tyle ciekawym, o ile ciekawem jest duchowe wnętrze autora. Tu, gdzie najdrobniejsze uczucie, sensacya, staje się problematem wołającym o rozwiązanie do tego, w kim jako problemat powstało, jest subiektywizm jedyną drogą postępu, a samoistność w ujęciu i rozwiązaniu, jedyną zaletą utworu. Jakże smutno wygląda wynik zastósowania tego kryteryum do liryki polskiej generacyi najmłodszej. Czem są panowie Mirjam-Przesmycki, Zgliński, Jankowski et tutti quanti?

RUSZCZEWSKI.

Tak... to prawda, ale widzisz Władeczku, jeżeli Karol sprzeda kolonizacyi, to społeczeństwo... (*z widocznym ambarasem*) gotowo się rozgniewać i kandydaturę odrzucić. Przecież dzienniki nasze...

WARECKI.

Tu sęk właśnie. Trzeba sprzedaż osłonić tajemnicą.

RUSZCZEWSKI.

Tajemnicą ?... To niemożliwe, Władeczku.

WARECKI.

Ułożyliśmy tak, mój Michale, że Karol sprzeda symulacyjnie majątek komukolwiek ze znajomych lub dalszej rodziny, a ten dopiero odstąpi go kolonizacyi, oczywiście za pewnem z naszej strony wynagrodzeniem. W ten sposób syn mój jest zakryty i kandydaturze jego nic nie stanie na przeszkodzie.

RUSZCZEWSKI (*kręci głową*).

Symulacya? Hm! Wstyd pomyśleć...

KAROL.

Cóż począć? Dira necessitas.

RUSZCZEWSKI.

Mnie się zdaje, że to się nie uda. Ktoby tam chciał przyjąć na siebie miano kurczyciela ojczyzny.

(*Chwila milczenia. Karol i Warecki spoglądają na siebie.*)

WARECKI.

Sądzę, że ktoś z rodziny, której przez całe życie tyle dobrego świadczyłem, powinien się poświęcić.

RUSZCZEWSKI (*z przestrachem*).

Z rodziny? Z naszej rodziny?

WARECKI.

Mój Michale! mówmy otwarcie. Sądziłem, że ty z własnej inicyatywy zaofiarujesz nam usługi swoje.

RUSZCZEWSKI.

Ja? Co wy mówicie? Co? (*po chwili*). Na moich siwych włosach nie ma ani jednej plamy, a teraz... teraz u grobu miałbym je splamić. Pan Karol chce sztandar zdradzić, a ja mam iść pod pręgierz.

KAROL.

Przesadzasz, panie Ruszczewski.

WARECKI.

Mój drogi! Sentymentalne deklamacye popłacają przy kieliszku, z trybuny, przed szeroką publicznością, ale tu w ciasnem kółku rodziny to robi wrażenie kremu przesłodzonego. Wróćmy do prozy, Michale.

RUSZCZEWSKI.

Dajcie wy mi święty pokój. To wszystko naprózno. Jeżeli prozą jest błoto, to ja tam nie wejdę. Kpicie sobie ze starego, niech wam tego Bóg nie pamięta (*chce wychodzić, Warecki bierze go za rękę*).

WARECKI.

Ależ nie rejteruj, mój drogi. Węzły rodzinne i wynikające z nich obowiązki, to świętość. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

RUSZCZEWSKI.

Rodzina, — święte słowo. Chcecie, a zginę dla was, ale bez plamy, mój Władeczku, — bez skazy.

WARECKI.

Plama... skaza... ta egzaltacya jest rozpaczliwą. Cóż tobie szkodzi, że tam jakie piśmidło palnie sobie artykuł o kurczeniu ojczyzny. Społeczeństwo zbyt jest rozumne, by w myśl tych narodowych palaczy wtrącać się do prywatnych stosunków majątkowych. Warknie tam jeden i drugi, ale rzecz pójdzie w zapomnienie. Zresztą ty nie masz już żadnych ambicyi, o urzędy obywatelskie się nie starasz, o mandaty poselskie nie dbasz, nic zatem stracić nie możesz.

RUSZCZEWSKI.

Mam ambicyę uczciwego człowieka. Nie chcę być żadnym posłem, patronem, delegatem ale chcę pozostać człowiekiem honoru.

KAROL.

Ależ my darmo niczego nie chcemy. Ofiarujemy za tę usługę tysiąc talarów.

RUSZCZEWSKI.

Co? Więc moją opinię, moją uczciwość mam sprzedać! Pfuj! panie Karolu! pfuj!

KAROL (*ostro*).

Panie Ruszczewski! Jak śmiesz?! Żebrałbyś bez naszej pomocy.

RUSZCZEWSKI.

Przepraszam, bardzo przepraszam. Ale jak serce zaboli, to ust sznurować nie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Słyszą wonie i *czują* tony, bo takim zaburzeniom podlegają ich młodzi koledzy z zachodu, z tą tylko różnicą, że u naszych panów można przy szczerości tych zaburzeń położyć znak zapytania, podczas kiedy w tamtych są rzeczywiście szczeremi. Naśladownictwo to posuwają aż do najmniejszych drobnostek formalnych, tak, że zachodzi poważna obawa czy zupełny brak oryginalności i wszelkich cech subjektywnych (pomimo „ja“, „mnie“, „mój“) nie jest dowodem zupełnej próżni umysłowej. Chcą być „modern“ za każdą cenę, nie pomni, że „modern“ znaczy dziś tyle co odrębny. Nawet liryk tego talentu, co Tetmajer, który w ostatnich wierszach dał dowód otrząśnięcia się do pewnego stopnia z obcych naleciałości, do niedawna jeszcze (ob. dramat „Sfinks“) był naśladowcą. Wyjątek stanowi Kasprowicz, o którym można powiedzieć to co o Prusie, że jest przynajmniej nie czułym na wpływy literackie. Wyczerpuje go wprawdzie dziennikarstwo, pochłania akcya społeczna, ale tam gdzie wychodzi po za to („Anima lachrymans“ „Miłość“) umie być sobą. Świadczy o tem, z czego mu czynią zarzut nieopanowania formy, walka i szukanie jej dla najodpowiedniejszego ubrania swych myśli, bo w gotowe przyjęte już formy dadzą się ująć li tylko myśli przyjęte.

Jak w obec tego wyniku przedstawia się najbliższa przyszłość naszej literatury? Oto w twórczości literackiej wyższego stylu, jak powieść i dramat, nie mamy na razie żadnego przyrostu w twórcach. Przyczyna tego leży nie tyle w ich braku, ile w trudnościach, z jakiemi połączonem jest wydobycie się na powierzchnią, niejednokrotnie pomimo rzeczywistego talentu. Źródła tych trudności należy zaś szukać, obok obojętności kół szerszych, głównie w małoduszności sfer literackich, niedopuszczających żadnego współzawodnictwa. Najświeższym przykładem jest wynik ostatniego konkursu dramatycznego Wydziału krajowego we Lwowie. Nagrodzono komedyą Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“, sztukę, której powodzenie może tylko być potwierdzeniem słów Hebbla: „Es giebt Stücke denen gegenüber das Publicum durchfällt.“

Stanisław Wojela.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ze Szląska polskiego.

(*Wyczekiwanie funduszu kolonizacyjnego dla Szlązka. — Życie po towarzystwach. — Pieśniarze szlązcy. — Franciszek Wilczek z Dobrzynia, — Odwaga cywilna ludu prostego. — Czy może sprawa polska na Szlązku istnieć bez duchowieństwa? — Skłonność partyi Kuryera Górnoszlązkiego do wycofania się. — Polska spółka kredytowa w Bytomiu*).

Uznawanie polskości na Szlązku ze strony niemieckiej zdaje się być dziś rzeczą dokonaną; na całej linii widać wahanie się — i nieledwie zamęt. Nie mogąc przeszkodzić naturalnemu rozwojowi spraw, śledzą i węszą i ważą, a w każdym razie wyczekują czegoś nieokreślonego, czegoś w guście otwarcia się śluzów milionowych, tym razem na kolonizacyą Szlązka.

Wiosna nadchodzi i do życia budzi. I w polskich szeregach słychać krzątanie się. Życie po towarzystwach bije tu tak żywo, że i największy sceptyk, patrząc na nie, uwierzyć musi w pogodniejszą przyszłość. Słyszałem rodaków z Księstwa przyznających się, że po raz pierwszy na Szlązku usłyszeli pewne prześliczne piosenki polskie, chórem przez całe zebranie śpiewane, które w innych stronach ojczyzny ledwie w solowych popisach przy fortepianie rozbrzmiewają. Tu młodzież nie tylko śpiewa lecz i sama tworzy pieśni. Pod tą zgrzebłą siermięgą niejeden Lubiński się ukrywa, a sądząc z niektórych początków, śmiało przypuszczać można, że Lubiński na długo ani największym, ani ostatnim pieśniarzem nie zostanie. W szeregach tych domorosłych pieśniarzy niepośledne miejsce zajmuje Franciszek Wilczek, syn gospodarski z Dobrzynia pod Opolem. Wiele jego piosenek umieszczonych w śpiewniczku Górnoszlązkim, wydanym przez p. Br. Koraszewskiego, red. „Gazety Opolskiej“, śpiewa cały Szlązk. To, co Lubiński nader ostrożnie wypowiada, śpiewa Fr. Wilczek, a z nim młodzież szlązka na całe gardło:

> Ja jestem Polakiem z krwi, kości i ciała;
> Choćby mnie niemczyzna i zatopić chciała,
> To na wierzch wypłynę i Niemcom do ucha
> „Ja jestem Polakiem“ krzyknę co mam ducha.

To jawne przyznawanie się już nie tylko do języka polskiego, lecz do polskości bez wszelkich zastrzeżeń, spotykamy i w dalszym promieniu główniejszych centr, i serce rośnie na widok tej odwagi cywilnej, z jaką prosty robotnik lub gospoderz dokumentuje swą polskość na zebraniu w obec reprezentanta władzy, któryby go spojrzeniem rad zmiażdżyć.

Większa część duchowieństwa, a pomiędzy nimi i tacy nawet, którzy niejednokrotnie już składali dowody najlepszych chęci i sprawę polską serdecznie popierają, utrzymuje nie na żarty, że sprawa polska na Szlązku bez księży istnieć nie może.

W istocie wszakże inaczej przedstawia się sprawa. W ostatnim lat dziesiątku bezprzecznie bardzo wielkie postępy porobiła polskość na Szlązku. Działo się to wszystko i dzieje do dziś dnia bez najmniejszej pomocy ze strony kleru. Odwrotnie, byliśmy tu świadkami rzeczy niebywałych, widzieliśmy lud polski broniący całym swoim bytem i dobytkiem ołtarzy kościelnych w czasie walki kulturnej, a po chwili te same ołtarze błogosławiące wrogom i ciemiężycielom ludu. Widzieliśmy sługi ołtarzy w pierwszych szeregach naszych faraonów a nawet do dziś dnia grupi się większa część kleru ku ogólnemu zgorszeniu około Kuryera Górnoszl. i nie z ludem, lecz przeciwko niemu walczy.

Że mimo tego wszystkiego polskość ogromne z dnia na dzień robi postępy, podczas gdy Kuryer Górnoszl. dotychczas i na czernidło drukarskie nie zarabia, jest tajemnicą nie mniej publiczną. I gdzież tu pozostaje miejsce na uzasadnienie tak śmiałego twierdzenia, jakiem jest owa legenda, że polskość bez kleru istnieć nie może? Wpływu, jaki duchowieństwo na stósunki tutejsze, a mianowicie na lud prosty wywiera, nikt lekceważyć nie może, a i stronnictwu ludowemu byłoby zapewne dogodniej wpływy te mieć raczej po za sobą, niż przeciw sobie, lecz straszaków z tego stanu rzeczy komponować nie ma najmniejszej potrzeby. Jeżeli uwagi czy pytania tego rodzaju, które w ostatnim czasie dość często spotykamy, mają być zapowiedzią przyszłej rejterady partyi Kuryerowej, to może ona być przekonaną, że polska partya ludowa na Szlązku ma pod dostatkiem grzecznych reprezentantów, którzy rejteradę Kuryerową z zachowaniem wszelkich honorów ułatwią bez pomocy jakichś tam straszków i straszaków.

W drugiej połowie marca r. b. założono w Bytomiu spółkę kredytową polską. Nie wiadomo, z jakich przyczyn dotychczas tak przeraźliwie cicho o tem, jak gdyby inicyatorzy własnej odwagi się przelękli. Panowie ci darują, że bez ich wyraźnej aprobaty sprawę tę na tem miejscu poruszam, lecz po dokonanym czynie, jakim jest ukonstytuowanie się spółki, sprawa ta już do ogółu należy i przestaje być prywatną. Radzibyśmy bardzo w sprawie tej coś ze źródła samego usłyszeć, do czego po upływie miesiąca mniemamy mieć prawo.

Chim.

Listy z Berlina.

Berlin 1 maja.

(*Pierwszy maj wśród społecznej demokracyi i w prasie. — Mowa Bebla. — Postępy ośmiogodzinnego dnia roboczego. — „Demokracya narodowa“ przez Arystokratę. — Jul. Wolff o socyaliźmie z katedry.*)

Święto robotnicze pierwszego maja nie przejmuje już Europy taką obawą, jak pięć lat

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M. W.**

III.

U wstępu na wiejską uliczkę wiatr jeszcze dął i śnieg zasypywał drogę, ale już w środku wsi zacisznie było, ciepło i przyjemnie. Przy jednej chacie pies poszczekiwał, przy drugiej kobieta jakaś w sukmanie zarzuconej na głowę wracała do domu, a ujrzawszy jadących przystanęła we drzwiach, aby się im przyjrzeć. Z dalszych chałup dolatywał śpiew dziewcząt. Wśród mieszkań ludzkich mniej było wiatru i śniegu i mrozu.

— A toć przecie Gryszkino! — zawołał Brechunow.

— Nie inaczej — przytwierdził Nikita.

Było to Gryszkino w istocie. Zdarzyło się, że podróżni skręcili niepotrzebnie w lewo i zrobili koło ośmiu wiorst drogi niezupełnie w tym kierunku, jakim jechali, ale pomimo to zbliżyli się do celu podróży. Z Gryszkina do Goriaczkina było wiorst pięć.

We wsi zastąpił im drogę wysoki mężczyzna, który szedł środkiem uliczki.

— Kto jedzie? — zawołał zatrzymując konia, ale zaraz poznał Brechunowa, uchwycił się hołobli i posuwając po niej rękami, doszedł do sani i przysiadł na koźle.

Był to znajomy Brechunowa, chłop imieniem Izajasz, znany w całej okolicy jako głośny koniokrad.

— A, Bazyli Andreicz! Dokądże to Pan Bóg prowadzi? — pytył Izajasz, owiewając Nikitę oddechem wódką przesiąkniętym.

— Do Goriaczkina jechaliśmy.

— I aż tuście zajechali? Powinniście byli jechać na Małachowo.

— Zapewne, aleśmy nie trafili — odparł Brechunow, zatrzymując konia.

— Śliczny konik — rzekł Izajasz, przypatrując się gniadoszowi i wprawnym ruchem ręki poprawiając rozluźniony węzeł jego ogona. Nocować tu będziecie, co?

— Nie, jechać musimy koniecznie dalej.

— Pilną widać potrzebę macie.

— Abyśmy tylko znowu nie zbłądzili — wtrącił Nikita.

— A gdzieżbyś tu miał błądzić? Jak zawrócisz z powrotem tą samą ulicą, jedź prosto przed siebie, a potem za wsią znowu prosto przed siebie. W lewo nie skręcaj. Dostaniesz się na bity gościniec i wówczas dopiero weź w lewo.

A skręt z gościńca kędy prowadzi: letnią czy zimową drogą?

— Zimową. Będą tam zaraz krzaki, a z drugiej strony wiecha dębowa, z liśćmi, ona to właśnie boczną drogę wskazuje.

Brechunow zawrócił konia i popędził go tą samą drogą, którą do wioski wjechali.

— Ale bezpieczniejby tu nocować! — zawołał w ślad za nim Izajasz.

Brechunow zamiast odpowiedzi przynaglił bieg konia. Zdawało mu się, że nie może być nic łatwiejszego, jak przejechać po równej drodze pięć wiorst, z których dwie lasem prowadziły, zwłaszcza, że wiatr jakby ucichł i śnieg przestawał padać.

Jadąc z powrotem po utartej między domami drodze, minęli znowu to samo podwórze z rozwieszoną bielizną, posunęli się ku jęczącym żałośnie wierzbinom i wydostali w otwarte pole. Zamieć nie ucichła, zdawało się owszem, że silniej jeszcze szalała. Drogi nie było żadnej i tylko wiechy wskazywały, że jadą dobrze, ale i te trudno było rozróżnić, bo wiatr bił w twarz.

Brechunow przymrużał oczy, schylał głowę, wypatrując owych wiech, ale popuszczał lejce koniowi, w instynkcie jego pokładając

wstecz, kiedy to wykupywano magazyny broni i barykadowano sklepy ze szkłem. Przecież opiewany przez poetów i słowiki piękny miesiąc maj budzi wciąż niemiły dreszcz w klasach posiadających i rządzących, którym zwycięzkie *hurra* proletaryatu mówić się zdaje jak ów duch Dęboroga: redde quod debes. Uczestnicy zaś i sprawcy majowego święta, robotnicy, zupełnie się do istniejących zastosowali warunków. Urządzono dziś wprawdzie w Berlinie cały szereg zgromadzeń porannych, podczas których mówcy wyjaśniali znaczenie majowego święta, ale udział w nich nie był przymusowym dla członków partyi; wieczór za to zgromadza tłumy, które noszą świąteczną szatę i usposobienie. nietylko dla tego, że w ich szarem życiu przybył jeden więcej uroczysty i radosny dzień, ale i dla tego, że wydaje im się, jakoby każdy rok przybliżał ich do idei, której służą. Najciekawszą z mów wygłoszonych było przemówienie deputowanego Bebla wobec parotysiącznego zgromadzenia przed biustami Lassale'a i Marxa. Siwy już trybun ludowy nie góruje postacią. lecz głosem, płynną. świetną, znaną zresztą z przemówień parlamentarnych wymową. Za nych deklamacyi, wykrzykników, kwiatów retorycznych, tylko na czysto faktycznym tle ruchu lat ostatnich, postępów prawodawstwa fabrycznego, rezolucyi międzynarodowego kongresu robotniczego w Paryżu z głębokiem przekonaniem wypowiedziana nadzieja, że niedalekim jest już moment, w którym gospodarka dzisiejsza ustąpić musi przyszłej ludowej, opartej na wspólnej własności środków produkcyi. Potężnym sprzymierzeńcem w tem przeobrażeniu jest, jak Bebel zaznacza, technika, gdzie maszynę parową już dziś zastępować zaczyna elektryczność; wprowadzenie tej nowej siły, zarówno jak i powstanie nowych centrów, eksportujących towary na wschodzie i zachodzie, zmienić musi postać całego ekonomicznego świata, jeżeli nie chcemy utknąć zupełnie w nowym kryzysie nieustannym, który trwa od lat wielu i charakteryzuje się przewyżką produkcyi nad spożywaniem.

Święto majowe stawia sobie za hasło i cel najbliższy osiągnięcie ośmiogodzinnego dnia roboczego. Hasło to podniesionem było jeszcze przez Komenjusza, który wyraźnie powiada, że ideałem życia ludzkiego jest podział dnia na trzy części: osiem godzin snu, osiem spoczynku i zajęcia własnemi sprawami, osiem pracy. Występuje ono również w pismach Helwecyusza (Homme machine), Rousseau'a, Wielanda, słowem nie jest bynajmniej nowem; że zaś nie jest również mrzonką, niepodobną do osiągnięcia, na to dowód mamy w rozwoju czasów ostatnich. Przed półtora rokiem postanowił rząd angielski zaprowadzenie ośmiogodzinnego dnia roboczego we warsztatach marynarki. Próba dała tak zadawalniające rezultaty, że postanowiono ponowić ją dla pracowników pocztowych. Inicyatorami w tym samym kierunku w Anglii okazały się gminy miejskie. Londyn, a za nim 150 miast angielskich postanowiły oddawać roboty tym przedsiębiorcom, którzy złożą zobowiązanie zajmowania robotników tylko 49 godzin na tydzień. W Ameryce cały szereg stanów wprowadza w warsztatach rządowych ośmiogodzinny dzień roboczy, np. Nebraska i New-Jork. Na lądzie stałym Europy, ośmiogodzinny dzień roboczy znajdujemy tylko w niektórych kopalniach, gdzie wprowadzono trzy zmiany robotników w miejsce dwóch. Wszędzie rezultaty, co do zdrowia i zadowolenia robotników okazują się świetne, wzrasta również intenzywność, a więc ilość wykonanej w godzinie czasu pracy.

Istotnie demokracya społeczna dumną być może, że wszędzie polityka społeczna wstępuje w ślady, jakie jej socyalizm zakreśla. Spełniać pewne życzenia robotniczych partyi staje się już nietylko obowiązkiem humanitarnym, ale nawet nakazem dobrze zrozumianego interesu osobistego. Za dowód pierwszego posłużyć może prawo o pracy robotnic, które przyjęto olbrzymią większością głosów w kantonie zurychskim w sierpniu ostatniego roku,*) za dowód drugiego fakt, że 9 browarów w Berlinie ogłasza dzisiaj, iż dobrowolnie święcić będą dzień 1 maja! Otóż to korzyść, że żadne zgromadzenie robotnicze bez piwa obejść się nie może! Piwowarzy przerabiają się na demokratów społecznych, i nakazuj tu ludowi oszczędność lub wstrzemięźliwość!

Policya przecież bojkotu się nie obawia; czyniąc swą powinność skonfiskowała połowę wydawnictw majowych — polityczne karykatury. Przedstawiciele jej jak zawsze należą do najgorliwszych uczestników zebrań, pojawiają się wraz z mówcą i wychodzą ostatni. A przytem jeżeli partye robotnicze są międzynarodowe, to i instytucya tych stróżów bezpieczeństwa jest również tak międzynarodową, że korespondent nasz, który miał przyjemność zapoznać się z nią w Warszawie, Petersburgu i Wiedniu, miał ciągłe halucynacye, że odnajduje znajome rysy, pomimo nieco odmiennych mundurów.

A teraz słówko o pracach, które w postaci broszur i artykułów pojawiają się dla osłony istniejącego porządku. Wybieramy z nich dwie: broszurkę bezimienną „D e m o k r a c y a n a r o d o w a“ przez A r y s t o k r a t ę, orazumieszczoną w Z u k u n f t quasi naukową pracę profesora uniwersytu Zürichskiego Jul. Wolffa o S o c y a l i ź m i e z k a t e d r y. Arystokrata stwierdziwszy, że zwycięztwo demokracyi społecznej byłoby zaprzeczeniem wszelkich panujących dotychczas praw i obyczajów, i nakładałoby na indywidualność ludzką pęta, dochodzi do wniosku, że walczyć z nią należy i zapytuje, jakiemi środkami? Dotychczasowa obojętność, policyjne gwałty, opinia społeczna, nieokreślone dążności ugodowe i drobne środeczki społeczne nic nie pomagają. Wróg nietylko nie ustępuje, ale rośnie. Jedynym przeciwko niemu środkiem jest *demokracya narodowa*.

*) Prawo to nakazuje 56 godzin pracy tygodniowej; za wszelką pracę daną po za tym do domu robotnica pobierać ma 25 proc. więcej niż zwykła płaca.

Hasło to tak zużyte, że patentu wynalazku nigdzie by na nie autor nie otrzymał, bo oto na czem polegać ma owo narodowe zdemokratyzowanie: Panujący występować powinien nie jako majestat niedostępny, którego krytykować nie wolno, ale jako przyjaciel swojego ludu, pierwszy między równemi. Ważniejsze uchwały stanowione być mają tylko jednogłośną zgodą, a więc nasze narodowe *liberum veto*, oskarżane tylokrotnie przez swoich i obcych, znalazło przecież mózg, któremu wydaje się być najlepszą formą głosowania!

Swoboda nauczania, zgromadzeń, szeroka, ale nie krępująca jednostki polityka społeczna. zmniejszenie liczby policyi i wydatków państwowych, demokratyzacya sądów, wojska, urzędów, a wreszcie całego społeczeństwa, oto szereg recept podany przez autora na kilku zaledwie stronnicach. Nie protestujemy przeciwko żadnej, przyznać jednak trzeba, że największą zaletą rozprawki jest, iż obejmuje tylko 24 strony!

Inną już bronią, wiele cięższego kalibru walczy Wolf, znany może czetelnikom ze swojego „Systemu polityki społecznej“ (Sztutgart 1892 r.) i licznych prac z dziedziny polityki skarbu i banków, a także z głośnej polemiki, jaką prowadził ubiegłej zimy ze Schmollerem*). Uczony Zurichski podnosi przeciw s o c y a l i z m o w i z k a t e d r y najcięższy dlań, a prawdopodobnie i najmniej przyjemny zarzut, mianowicie, że ma on te same zasady i cele, co socyalizm robotniczy, jeżeli zaś staje z ostatnim w opozycyi, jest to tylko następstwem cofania się przed ostatecznemi konsekwencyami. Wolff przytacza teoryą Schmollera o zmniejszaniu się liczebnem stanu średniego, tłomacząc to zjawisko na swój sposób. a więc że stan średni zmniejsza się nie

*) Polemika ta była czysto osobistej treści. Schmollerowi zarzucono, że samowolnie katedry obsadza, on zaś odparł, że J. Wolffa za uczonego nie uznaje i do niemieckich uniwersytetów by go nie dopuścił.

---

całą nadzieję. I gniadosz w istocie nie zbaczał z drogi, wyczuwał ją kopytami i wedle potrzeby skręcał w prawo lub w lewo, pomimo więc wzmagającego się wciąż śniegu i wiatru, wiechy migały to z jednej, to z drugiej strony.

Po dziesięciu mniej więcej minutach takiej jazdy ujrzeli w prostej linii przed koniem przedmiot jakiś, poruszający się w skośnej siatce smaganego wiatrem śniegu. Byli to nieznani jacyś towarzysze drogi. Gniadosz doścignął ich wkrótce i przedniemi nogami w płozy uderzył.

— Wymija-a-a-a-j! zawołano z sanek.

Brechunow zaczął ostrożnie wymijać. W saniach siedziało trzech mężczyzn i kobieta. Całe towarzystwo wracało widocznie z odpustu. Jeden z mężczyzn walił konia suchą gałęzią, dwóch innych krzyczało i wywijało ramionami, a kobieta owinięta chustkami i ubielona śniegiem, siedziała skurczona i milcząca w głębi sanek.

— A zkąd to? — wrzasnął Brechunow.

— Z...o-o-owa! — zabrzmiało w odpowiedzi.

— Zkąd?

— Z..o-o-owa! — krzyknął ile sił starczyło jeden z chłopów, ale nadaremnie, nie można go było zrozumieć.

— Wal! Nie daj się wyprzedzić?

— Z odpustu zapewne?

— Wio, wio! Wal Semenko! Mijaj! Wal!

Konie uderzyły o siebie, omal się nie zaczepiły, potem się rozbiegły i gniadosz wysunął się naprzód.

Kosmaty, z odętym brzuchem, ubielony śniegiem konik, sapał ciężko pod niską duhą i dobywając reszty sił, przebierał w głębokim śniegu krótkiemi nogami. Głowa jego widocznie młoda. z wyciągniętą, jak u ryby, dolną wargą, rozdętemi chrapami i stulonemi ze strachu uszami, trzymała się przez jakiś czas na równej linii z ramieniem Nikity, ale niebawem w tyle pozostawać zaczęła.

— Hej, co wódka wyrabia z ludźmi! — zauważył Nikita — na śmierć szkapę zadręczą. Azyaty przeklęte!

Przez chwilę słychać jeszcze było chrapanie zmęczonego konia i pijackie wrzaski chłopów, poczem najpierw ucichło chrapanie, a dalej umilkły i krzyki. I znowu cicho dokoła, tylko wiatr huczy, a od czasu do czasu płozy zaskrzypią, sunąc po ogołoconej miejscami drodze.

Spotkanie to rozweseliło Brechunowa i dodało mu otuchy. Śmielej teraz, nie zważając już na wiechy, popędził konia, o którego zmyślności miał jak najlepsze przekonanie.

Nikita, nie mając nic do roboty, zadrzemał. W tem koń stanął, a parobek kiwnął się tak silnie, że o włos z sanek nie wyleciał.

— Ponoś znowu źle jedziem — odezwał się Brechunow.

— Albo co?

— Wiecht nie widać. Zboczyliśmy chyba z drogi.

— Jeżeli tak, to ją trzeba odszukać — oświadczył krótko Nikita, wyskakując z sanek.

I znowu, lekko stąpając wykrzywionemi do środka stopami, zaczął brodzić po śniegu. Chodził teraz długo, znikając w oddali, to ukazując się i znowu znikając, aż nakoniec wrócił do sanek.

— Nijakiej tu drogi nie ma, chyba tam dalej będzie — oświadczył wsiadając.

Zmierzchać już zaczynało. Śnieżyca nie wzmagała się, ale też i nie cichła.

— Gdybyśmy przynajmniej tamtych chłopów usłyszeli — mówił Brechunow.

— Ha, nie dopędzili nas! Zapewne daleko znajdujemy się od drogi, a może i oni zabłądzili, odparł Nikita.

— I w którąż stronę teraz pojedziemy? — pytał Brechunow.

— Najbezpieczniej będzie spuścić się na konia — doradził Nikita. — On nas dowiezie. Dajcie lejcz.

Brechunow usłuchał tem chętniej, że ręce, pomimo ciepłych rękawiczek, zaczynały mu sztywnieć.

Nikita ujął lejce i trzymał je nieruchomie, ufny w rozum swego faworyta.

Jakoż w istocie, rozumne zwierzę, zaczęło

dla tego, aby członkowie jego byli coraz mniej zamożni i zmuszeni do przechodzenia w szeregi proletaryatu, lecz że zamożność ich się powiększa i przechodzą tedy do klasy zamożnej. Zarzutom takim, jak przecenianie wpływu państwa, pomijanie momentów etycznych, groźba panoszącego się biurokratyzmu, — trzeba w każdym razie przyznać dużo trafności.

Praca Wolffa choć nie głęboka czyta się z zajęciem i jest ciekawym dowodem, że i na olimpie naukowym, na którym tak niepodzielnie profesorowie-ekonomiści utrzymać się pragną, wybuchają burze. Z zadowoleniem przyglądają się im stojący niżej, istotni przedstawiciele socyalizmu, którym olimp praw do naukowego stanowiska zaprzecza.

S. Z. D.

Z estrady i sceny.

(*Występy pani Leszczyńskiej*).

Trzy razy tylko widziałem panią Leszczyńską na scenie: w „Honorze“, „Sztuce przypodobania się“ i „Weselu Figara“. To też znajdując się w położeniu malarza, którego model zaprędko zniknął z pracowni, w sylwetce warszawskiej artystki trzymać się muszę z konieczności granicy konturów.

Zdaje mi się, że pani Leszczyńska jest talentem charakterystycznym, któremu brak szerokiego zakroju. Jej wdzięk, jej ruchy, jej głos i artyzm interpretacyi nie sięgają na wyżyny tej wielkiej drabiny, którą tworzą indywidualizmy ludzkie z całą gamą różnolitych namiętności, uczuć, wrażliwości, pojęć i temperamentów, — lecz tylko na niższych szczeblach królują w pełni swych blasków. Tu za to talent pani Leszczyńskiej staje się kryształowem zwierciadłem życia i w galeryi typów, rzucanych przed rampę zdradza duszę mistrza i technikę wirtuoza. Taka Alma z „Honoru“ na przykład! Widziałem w tej właśnie roli kilka pierwszorzędnych artystek i lękałem się nieco, że gość z Warszawy, o typie tak wybitnie słowiańskim, nie da nam całej duszy berlińskiej gryzetki. Jest bowiem w Almie jakiś rys niemiecki i więcej nawet: jakieś tchnienie czysto lokalne, podobnie jak w „Gnieździe rodzinnem“ już nie ogólno-narodowy koloryt uderza, lecz gdzieniegdzie prowincyonalne, wschodnio-pruskie mienią się barwy. Alma jest z krwi i kości Berlinką, - z tem tchnieniem naiwnego zepsucia i pragnieniem użycia, z tą flegmą niemiecką i atmosferą suteryn, z tem żargonem stolicy i suchą, jałową umysłowością berlińskiego półświatka. Powiedział ktoś, że typ ten jest „ganz berlinisch und will berlinisch gespielt werden“, a polskie artystki lubią polonizować cudze postacie.

Przypominam tylko, jakie dziwolągi ulepiono na scenie naszej z Ibsenowskich kreacyi. Cały charakter norwegskiego mistrza rozpłynął mi się i zginął, a zamiast Ibsena widziałem trochę Fredry i trochę Zalewskiego. Albo „Krzywoprzysięzca“ Anzengrubera? Cóż pozostało z dramatu? Trochę „Karpackich górali“. Podobnie dzieje się z Almą i dopiero pani Leszczyńska, pierwsza i jedyna może na polskiej scenie, pokazała nam, zamiast polskiej transkrypcyi Sudermanna — samego poetę. Jej Alma była „berlinisch“, — bez francuzkiej pikanteryi bez warszawskiego temperamentu, — i dla tego właśnie z trzech na wstępie wymienionych kreacyi, tę postać stawiam najwyżej. Odtworzyć duszę pokrewną i dać siebie samego na scenie to ulubione zadanie artystów, — ale wyjść po za siebie, przez godzin kilka wchłonąć inny temperament, uśpić własne „ja“ etnograficzne i być Anglikiem, Włochem lub Niemcem, cholerykiem lub sangwinikiem, rzeźbioną krużą, filgranem wiotkim lub produktem mętów suterynowych, — to zadanie godne wielkiego talentu. Powtarzam raz jeszcze, że pani Leszczyńska talentem swoim nie ogarnia szerokiej gamy typów psychologicznych, ale w swoim zakresie, w ciaśniejszym obrębie charakterystyki niższej, półświatkowej i brukowej, w dziedzinie kokieteryi jaskrawszej i subretkowych kreacyi, — tam wszędzie, gdzie Rafaelowską „*gentilezzę*“ zastępuje genre niderlandzkie, — tam warszawska artystka rozwija przedziwną giętkość i zdolność interpretacyi. Jej Alma posiada chwilami jakąś senną ociężałość, to znów krzykliwe, pawie porywy wesołości, i jakieś onieśmielenie pół-prostytutki, która jeszcze nie poluje w „Café National“, ale już „Verhältniss“ traktuje jako rzemiosło. I tak się otula w peniuary swoje, tak oryginalnie rusza się na scenie, tak bezmyślnie lub lękliwie spogląda na brata i publiczność, że w tych zewnętrznych formach jest cały klucz charakteru, stosunków i życia. Tam wstydu już nie ma, tam jest tylko strach, aby między nią, a wesołym lupanarem nie stanął Robert Heineke.

I czuje publiczność, że to dziecko suteryn berlińskich spija francuzkiego szampana dla tonu i za nic w świecie nie przyznałoby się do gminniejszych gustów, ale zachwycając się głośno butelką o złoconej szyi, myśli o ulubionej „Berliner Weisse“. Bez egzaltacyi i temperamentu warszawskiej gryzetki, bez perełkowego humoru i nerwów Paryżanki, jest Alma pani Leszczyńskiej żywem odbiciem berlińskiego typu.

Rola hrabiego de Letorieres w „Sztuce przypodobania się“ i Zuzanny w „Weselu Figara“ nie nastręczały warszawskiej artystce sposobności rozwinięcia całej siły i całej istoty talentu swojego, ale świadczyły wymownie, że pierwszorzędna rutynistka przemawia do nas ze sceny. Może chwilami w błyskotliwej swobodzie pani Leszczyńskiej było jakieś coś mówiące z cicha: „Chcę być swobodną“, — może to „chcę“ nakładało miejscami barw nadto soczystych, może jakaś odrobina powściągliwości, jakiś ton bledszy gdzieniegdzie byłby spotęgował wrażenie finezyi i stylu, — ale mimo to obie te role, a mianowicie Zuzanny w „Weselu Figara“, były kreacyą niezwykle piękną. Czuć było Paryż, — ten Paryż 18 wieku — tę sztukę roześmianą i fruwającą, nie jak orzeł rozpięty w niebiosach, lecz jak szczygieł z krzaku na krzak. Zamiast potężnego artyzmu — bawidełka wiotkie, ale tak ślicznie utoczone, tak misternie rzeźbione, że dziś jeszcze mimo całego archaizmu urok swój mają i czar. „Ancien régime“ zginął już dawno, zmiażdżony ciężką stopą nowych ludzi, a jednak to „Wesele Figara“, ta uwertura rewolucyi, jak mówił Napoleon, straciwszy aktualność, nie straciła wdzięku swojego. Pani Leszczyńska zdradza dobre wzory i odczuwa epokę, którą tworzy na scenie. Tu nie prosta erudycya, nie sama szkoła prowadzi artystkę, lecz talent metamorfozy, umiejętność wcielania w siebie historyi. I dla tego ten książę Letorieres i ta Zuzanna nie były zimną prawdą zewnętrzną, lecz dawnem życiem i dawnemi ludźmi.

Żal mi tylko było, że oprócz p. Trapszy, który postać cichego grzesznika w „Sztuce przypodobania się“ skąpał w niezrównanym humorze, i oprocz p. Knapczyńskiego, żywego jak skra i panującego nad rolą swoją w każdym momencie, — ensemble poznańskie działało chwilami wręcz denerwująco. W „Weselu Figara“ ambaras nie znikał ze sceny, klawisze nie odpowiadały, coś się haczyło, coś rwało i zdawało się widzom, że gromada studentów recytuje źle wyuczoną lekcyę gramatyki.

W końcu jedna jeszcze uwaga. Mówiono mi, że p. Leszczyńska marzy o stworzeniu „Nory“ i „Magdaleny“ z „Gniazda rodzinnego“. Cenię odwagę i przedsiębiorczość, ale ostrzegam artystkę przed tym ryzykownym eksperymentem. Fałszywe apetyty wykoleiły już niejedną gwiazdę sceniczną, a o ile z trzech przedstawień

---

poruszać uszami, zwracając je kolejno w jedną lub drugą stronę, potem skręcił w bok.

— Tyle tylko, że mówić nie umie — cieszył się Nikita. — Patrzcie, co robi. Tak, tak biegnij, dokąd ci się podoba!

Wiatr był teraz z tyłu. Zrobiło się cieplej.

— Ach, jaki mądry! — nie przestawał unosić się Nikita. — Kirgizki nasz konik silny wprawdzie, ale głupi. A ten, patrzcie tylko co uszami wyrabia. Nijakiego telegrafu mu nie trzeba: o wiorstę słyszy.

I nie minęło pół godziny, gdy znowu zaszarzało coś w oddaleniu: może las, może wioska, a z prawej strony mignęła wiecha. Wjechali widocznie na drogę.

— Cóż to? Znowu Gryszkino — zdziwił się Nikita. Z lewej strony widniała istotnie ta sama stodoła, z której sypał się śnieg, a dalej tenże sznur z zesztywniałą na bieliznę, koszulami i spodnicami, które wiatr szarpał z taką jak pierwej wściekłością.

I znowu znaleźli się między wiejskiemi opłotkami, wśród których zacisznie było, ciepło i wesoło, znowu dały się słyszeć głosy ludzkie, śpiewy, znowu zaszczekał pies. Było już na tyle ciemno, że w oknach niektórych chałup błyskały światełka.

Pośrodku wsi Brechunow skręcił konia do dużego murowanego domu i zatrzymał go u wrót.

— Wywołaj-no Tarada! — rozkazał Nikicie.

Nikita podszedł do zawianego śniegiem, oświetlonego okna, w którego blaskach migały, wirując w powietrzu, śnieżne gwiazdki — i zapukał trzonkiem od bata.

— A kto tam? — rozległ się w odpowiedzi głos z wnętrza.

— Z Krestow, znajomy, Brechunow — objaśniał Nikita. — Wyjdźcie do nas na chwilę, prosimy!

Postać odsunęła się od okna i w dwie minuty później słychać było odlepianie się wilgotnych drzwi do sieni, potem stuknęła klamka drzwi zewnętrznych z i poza nich wysunął się stary chłop z białą brodą, w wysokiej czapce i krótkim kożuszku, zarzuconym na białą odświętną koszulę, a w ślad za starym wysunął się młody w czerwonej koszulce i skórzanych butach.

— Proszę, serdecznie proszę do chaty — mówił stary.

— Eh, bracie, zbłądziliśmy i tyle! — tłumaczył Brechunow. — Jechaliśmy do Goriaczkina, a trafiliśmy do Was! odjechaliśmy ztąd i znowuśmy zbłądzili.

To ci dopiero trafunek! dziwił się stary — Pietrek, skocz wrota otworzyć — zwrócił się do młodego towarzysza.

— Czemu nie, zawołał raźnie Pietrek i podździł w podwórze.

— Ależ my nie mamy zamiaru nocować — bronił się Brechunow.

— Jakto, chce się wam tłuc po nocy? Ej, zostańcie raczej.

— I radbym nocował, ale nie mogę.

— No, to przynajmniej ogrzejcie się w izbie: trafiacie, jakby umyślnie na kipiący samowar.

— To co innego, ogrzejemy się chętnie — ciemniej już nie będzie, a gdyby zeszedł księżyc, byłoby nam nawet widniej. No, i jakże, wstąpimy ograć się do chaty, Nikito, co?

— Czemu nie mielibyśmy wstąpić? Ogrzać się nie wielka rzecz, można — odparł silnie zziębnięty Nikita, który o tem tylko myślał, jakby skostniałe członki na piecu rozegrzać.

Brechunow wszedł za starym gospodarzem do sieni, a Nikita wjechał w otwarte przez Pietrka wrota i stosownie do jego wskazówki wprowadził gniadosza pod dach wozowni. Wozownię wyścielała tak gruba warstwa podściółki, że wysoka duha trąciła o przerzuconą w górę żerdź, a kury i koguty, które się tam umieściły na noc, zagdakały, niezadowolone i zaczęły łapkami przebierać. Spłoszone owce, uderzając kopytkami po zmarzniętym nawozie, rzuciły się w kąt. Pies widocznie młody, przeraźliwie zaskomlił i zaczął ujadać na obcego z przestrachem i wściekłością.

Nikita nie zostawił nikogo bez odpowiedzi, rozmówił się ze wszystkiemi; kury przeprosił, upewniając, że dłużej mącić im spoczynku nie będzie; owcom wyrzucał, że boją się, same nie wiedząc czego, a psiaka uspakajał wymownie, przywiązując konia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

osądzić mogę, to królewskość pani Leszczyńskiej w dotychczasowym zakresie stanie się klęską w poważnym dramacie.

Dr. Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(Korespondenci poznańscy do pism galicyjskich. Błędne sądy. Dekoracye kongresowe. Przyszła wystawa.)

Podróżując w ubiegłym roku po Galicyi, nabrałem smutnego przeświadczenia, że wśród mieszkańców bratniej dzielnicy panują dziwnie fałszywe pojęcia o stosunkach poznańskich, — naszych ludziach, instytucyach i prądach. Nawet wśród braci po piórze, którzy z zawodu interesują się życiem publicznem wszystkich zaborów, spotykałem czasem dokładniejsze informacye o Turcyi lub Chinach, niż o nas z Księztwa, Prus Zachodnich, Warmii i Szlązka. Badając przyczyny tej dziwnej anomalii, odkryłem przedewszystkiem, że nasze źrodła korespondencyjne lwowskich i krakowskich czasopism dostarczają wody mętnej o stałej barwie jednej koteryi poznańskiej. Niemal każdy elaborat z marką fabryczną Poznania czuć już z daleka atmosferą „Dziennika“ i „Kuryera“, a ztąd publiczność galicyjska zamiast prostych zwierciadeł rzeczywistego życia, otrzymuje jakieś lustra wypukłe lub wklęsłe, — zamiast żywych ludzi i stosunków jakieś Homunkulusy krzywe i spaczone, wylęgłe w retortach „ładu i porządku“. Głównymi dostarczycielami takiej dziennikarskiej margaryny są w pierwszym rzędzie korespondenci krakowskiego „Czasu“ i lwowskiego „Przeglądu“, — dwaj rycerze Kuryerowej koteryi, składający na galicyjskich stołach redakcyjnych olbrzymie porcye społeczno-politycznych fałszów.

Czytelnikom feljetonów moich prezentowałem nieraz bogate kolekcye przeróżnych szmink, mastyksów, czernideł, bród i peruk, któremi redakcya „Kuryera“ operuje w mise en scène wielkich tragikomedyi politycznych p. t. „Podróż do Berlina z przeszkodami“ — „Kościeleccy rozbójnicy“ — „Noc św. Bartłomieja“ — „Wielki Czarodziej“ — „Nieomylność królów“ — „Hejże na warchołów“ i t. d. Cały ten repertuar teatralny przenoszą maszyniści lojalizmu i klerykalizmu na grunt galicyjski, z tą tylko różnicą, że nie lękając się ścisłej kontroli, wysuwają coraz dziwaczniejsze dekoracye i wyśpiewują kuplety, przypominające mi chwilami pewnego francuza, który pytał z całą naiwnością, czy w lasach poznańskich czyhają na zgubę ludzką wilki i niedzwiedzie, — lub podobne Calderonowskim baśniom o jakimś królu polskim, panującym w nadmorskiem zamczysku. Galicyjska publiczność otrzymuje takie ilustracye ludzi i stosunków, że np. w stronnictwie ludowem widzi tylko bandę Ravacholów, — w rządzie pruskim wróżkę dobrotliwą, rozmiłowaną w polskich sierotach — w Kole polskiem ekstrakt mądrości dyplomatycznej, — w każdym malkontencie poznańskim ambitnego pyszałka, w każdym oficerze lub minstrelu „ładu i porządku“ Napoleona, Gambettę, Danta i Szekspira.

Prócz dwóch wymienionych czasopism posiada jeszcze stałego korespondenta „Nowa Reforma“ — a towar poznański eksportowany pod adresem tego dziennika różni się o tyle od korespondencyi „Czasu“ i „Przeglądu“ o ile „Dziennik“ różni się od „Kuryera.“ Niema tam zatem owych drastyczności lojalnych i zakusów inkwizycyjnych, któremi organ duchowieństwa zatruł społeczeństwo, ale jest wstręt do ludzi, nie płynących w miałkiem korycie „Dziennikowego“ konserwatyzmu, niechęć do kierunków demokratycznych, nurtujących społeczeństwo poznańskie, i bałwochwalcza apoteoza wszystkiego, co gromadka królików wielkopolskich fabrykuje dla ratowania własnego tronu i dynastyi swojej. Jest to ten sam wodnity rosołek, którym „Dziennik Poznański“ karmi czytelników, te same banalne ogólniki i świecidełka patryotyczne, ta sama obłuda w charakterystyce „nowych ludzi“ i nowych prądów, ten sam kult dla form przeżytych i wielka maskarada naszego murszu, próchna i królestwa miernoty. Tak to w postępowo-demokratycznej „Reformie“ panoszy się często reakcya poznańska, lubo zastrzegam się wyraźnie, że nie posądzam o grę fałszywą redaktorów krakowskiego czasopisma, a skarżę się tylko na przesadny kredyt moralny, udzielany korespondentowi z dzielnicy naszej.

Inne dzienniki galicyjskie nie posiadają stałych korespondentów w Poznaniu i wiadomości swoje czerpią prawie wyłącznie z naszych organów „ładu i porządku“, fałszujących lub zabijających milczeniem wszystko, co kark ma twardszy, pęt nie narzuca ewolucyi społecznej i wskazuje legiony fałszywych brylantów w skarbnicach życia publicznego, strzeżonych przez narodowe „powagi“. Jeden tylko „Kuryer Lwowski“ rzuca niekiedy smugę światła w te ciemnice, bo w gronie współpracowników jego zasiada Poznańczyk, obeznany dokładnie z praktykami naszych proroków i bengalskim ogniem, bojów stronniczych, a opinią redakcyjną nie kieruje tam wszechwładnie „Dziennik“ lub „Kuryer“, lecz prawo głosu posiadają wszyscy reprezentanci prasy poznańskiej. Reszta codziennych czasopism lwowskich i krakowskich zna tylko jedną „prawdę“ poznańską i jedną „ewangelję“: ład i porządek.

Ku sprostowaniu opinii fałszywej nie służą również wizyty Galicyi w grodzie Przemysława przy sposobności zjazdów i kongresów. Dzielnica nasza przybiera wówczas jakiś odświętny charakter, głośne „Kochajmy się“ huczy na rynkach publicznych, a gość olśniony dekoracyą, szychem i pozorem wywozi tylko wrażenie zachwycającej harmonii i bujnego życia. Na polityczne dyskusye znajduje się zaledwie jakaś przelotna chwila w zamkniętem kółeczku, a i wtedy — rzecz dziwna — Poznańczycy wywierają chwilami takie wrażenie, jakby lękali się rozpiąć surduty przed galicyjską drużyną. Spotykałem ludzi, nie dotkniętych w normalnych warunkach paraliżem języka, którzy na polityczne pytania gości z Krakowa, Lwowa i Warszawy odpowiadali w ostrożnych półsłówkach i ogólnikach, nieufni i przestraszeni, że ktoś z Poznania wywiezie wrażenie rozkładu lub zastoju. Któż zresztą na przestrzeni kilkudniowej wizyty zbadać może mętne i powikłane stosunki nasze?! To też owo „przypatrzenie się z blizka sytuacyi“, które tak często spotykamy na ustach kongresowiczów i wiecowników, jest sobie zwykłą formułką konwencyonalną, pospolitem „façon de parler.“

Wyjątkową poniekąd rolę może jednak odegrać wystawa poznańska, bo tłum galicyjskich gości, spieszący podobno z rewizytą do Poznania, przekona się naocznie, ile przesady i samochwalstwa tkwi w tych rozgłośnych reklamach, któremi w ostatnich czasach otoczono nasz ruch przemysłowy i ekonomiczny. Krążąc niedawno po plantach w towarzystwie jednego z przyjaciół, stanąłem przed szeregiem rusztowań i pytam:

— Cóż my pokażemy Galicyi i Królestwu?

Uśmiechnął się smutnie i odpowiedział:

— Pokażemy im, że nas niemieckość pochłania i dusi.

Zaiste! O gorzkiej tej prawdzie zaświadczy wystawa, bo nie ulega już dzisiaj żadnej wątpliwości, że polski przemysł będzie tam kopciuszkiem. Być może, że kopciuszek ten, jak w bajce, zmieni się kiedyś w księżniczkę, ale dziś szary on i ubożuchny, a turniej poznański rozproszy mnóstwo blasków fałszywych, któremi dekoratorzy narodowi opromienili dzielnicę naszą.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Uniwersytety ludowe. O nowej rzeczy dowiedział się Wiedeń od panny Friberg, Dunki, która wykształcona w Anglii, poświęciła się propagandzie oświaty ludu. Miała ona wykład o uniwersytetach ludowych. Zdaje się, że te pojęcia nawzajem się wyłączają, a przecież się godzą. Jest to inna forma angielskiej „university extension.“ Duńskie uniwersytety ludowe obchodzą właśnie jubileusz 50 lat istnienia i rozwoju. Jest ich tam w małej Danii 70, roczna frekwencya 120.000 słuchaczów, co dwudziesty mieszkaniec do nich uczęszcza. Zaprowadzono je także w Norwegii, Szwecyi i Finlandii. Są to zakłady we własnych domach; sale wykładowe, gimnastyczne, jadalnie; uczniowie są w internacie pod dozorem; kurs trwa 6 miesięcy. Codziennie 5 godzin wykładów, przeplatanych ćwiczeniami cielesnemi. Główne przedmioty są: język ojczysty, konstytucya, ekonomia, statystyka, fizyka, chemia, astronomia, matematyka, hygiena, śpiew; są i godziny powtarzania, co tydzień wieczory dyskusyjne. Uczniami są chłopi, rękodzielnicy, urzędnicy; kupcy bogaci tworzą dla nich stypendya, bogatsi płacą za biednych, kurs kosztuje bowiem 40 fr., osobno mieszkanie i utrzymanie. Przeważnie zatem rządy i bogaci ludzie pokrywają koszta nauczycieli i uczniów. Nauczyciele pobierają 2000 do 4000 franków. Wpływ tych zakładów jest podobno niezmiernie doniosły pod względem społecznym i intellektualnym.

* * *

Pani Marya Szeliga-Loewy ponownie w tych dniach przemawiała w Paryżu publicznie w kwestyi równouprawnienia kobiet, zbijając argumenty i wywody: Proudhona i Ledraina, którzy — jak wiadomo — wojowali lub wojują obecnie za przyrodzoną niższością kobiet od mężczyzn. Odczyt naszej powieściopisarki wygłoszony był w merostwie dziewiątego okręgu, przy ulicy Drouot, wobec licznie zebranej publiczności, złożonej przeważnie z mężczyzn. Prezydujący na tem zgromadzeniu Dr. Manouvrier, profesor szkoły antropologicznej, znany z polemiki, jaką prowadził z teoryami Lombrosa, oświadczył głośno, że przyłącza się w zupełności do programu emancypacyi, nakreślonego przez panią Szeligę.

* * *

Z dniem 1 kwietnia wychodzić zaczął w Krakowie Przegląd Krakowski, dwutygodnik polityczny, społeczny i ekonomiczny. Przy drugim numerze, który się ukazał d. 15 z. m. naczelne kierownictwo tego nowego organu objął p. Ludwik z Dobczyc Turnau.

* * *

Aleksander Kraushar, który — jak to donosiliśmy — otrzymał jedną z nagród imienia Mianowskiego za dzieło o Arciszewskim, zadawalając się samym faktem zaszczytnego odznaczenia swej pracy, przeznaczoną mu kwotę zwrócił fundacyi.

* * *

Jan Zacharyasiewicz. — „Orion i Chryzantema czyli romans w XX wieku.“ — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1895.

Cięta to satyra, dysząca dowcipem, napisana z młodzieńczą werwą, wobec której nieprawdopodobną wydaje się wiadomość, obiegająca dzienniki polskie, że autor „Oriona i Chryzantemy“ obchodzić będzie w r. b. czterdziestoletnią rocznicę swojej działalności literackiej. Czytając te kartki, kreślone wytwornie, naznaczone niemal na każdym rogu piętnem bystrości obserwacyjnej i świeżym humorem, można mieć niepłonną nadzieję, że utalentowany i zasłużony pisarz doczeka jeszcze dyamentowych z piśmiennictwem naszem zaślubin.

* *

Laskowski Kaz. Szkice i typy. Parcelacya. Dziadzio. Judka Grafolog. Jamnik z Poborowa. Ruchla Tiulik. Warszawa, 1894, in 8o, str. 232.

Są to obrazki z życia wiejskiego i małomiasteczkowego. Pierwszy, najobszerniejszy, jest zarazem najlepszym, choć napisany zbyt blado i rozwlekle. Dziadzio jest żołnierzem napoleońskim, bałwochwalczo czczącym pamięć „bożka wojny,“ W Jamniku autor skreślił życie grabarza wiejskiego oraz jego rozpacz po stracie wnuczki. Dwa ostatnie obrazki przedsta-

wiają sceny z życia żydów małomiasteczkowych. Autor niezbyt udatnie naśladuje Klemensa Junoszę.

* * *

Podzięka Szlązaków. Od „Macierzy Szkolnej“ dla Księztwa Cieszyńskiego „otrzymało lwowskie „Koło Literacko-Artystyczne“ pismo z datą dnia 18 z. m. opiewające jak następuje:

Doprowadzone do skutku przez Szanowne Koło wydawnictwo „dla Szlązka“, z którego dochód przeznaczono na powiększenie funduszów gimnazyum polskiego w Cieszynie, sprawiło nam radość niewymowną, bo stwierdza niezbicie, że społeczeństwo przejęło się do głębi sprawą odrodzenia kresów zachodnich i wyrwania ich ze szponów germanizacyi i że ani na chwilę nie ustaje w popieraniu zadań Macierzy Szkolnej dla księstwa Cieszyńskiego.

Szanowne Koło czynem tym złożyło wobec społeczeństwa zaszczyt przynoszące świadectwo, jak wielce obywatelskim duchem jest ożywione, i pouczyło wszystkich, jakim sposobem należy w głębi serca pielęgnowane ideały ucieleśniać, aby one zaważyć mogły na szali zbiorowych usiłowań celem odrodzenia naszej ukochanej Ojczyzny. Dla tego też Zarząd Macierzy Szkolnej dla księstwa Cieszyńskiego poczytuje sobie za miły obowiązek przesłać Szanownemu Kołu wyrazy gorącej wdzięczności, szczerego uznania i czci głębokiej za to piękne dzieło, które zapewne zasili bardzo poważnie fundusze naszego Towarzystwa. Obecne i przyszłe pokolenia Polaków cieszyńskich błogosławić będą tych wszystkich, którzy się na tę ofiarną a zbiorową pracę złożyli. Nie mogąc z osobna każdemu z nich dziękować, prosimy uprzejmie Szanowny Zarząd Koła oświadczyć to i być tłomaczem uczuć naszych wobec wszystkich, a przedewszystkiem wobec Zakładu im. Ossolińskich za druk piękny a bezinteresownie wykonany, wobec autorów za nadesłane prace, tchnące gorącym patryotyzmem, oraz wobec tych wszystkich, którzy jakikolwiek udział w tem mieli. Oprócz materyalnej korzyści, jaką gimnazyum z przedsięwzięcia tego mieć będzie, wiązanka tych prac literackich stanowić będzie wdzięczną ozdobę wszelkich bibliotek i czytelni naszych i niejedną chwilę przyjemną czytającym przysporzy. Oby zacny czyn Szanownego Koła licznych mógł znaleźć naśladowców!

Ks. Józef Londzin, sekretarz. Ks. Ignacy Świeży, prezes.

* * *

Najświeższy numer (Nr. 9) krakowskiego dwutygodnika „Świat“ zaleca się tak pod względem illustracyi jak treści literackiej. Z rycin wyszczególniamy tylko ładny drzeworyt tytułowy Romana Kochanowskiego p. t. „Maj“, reprodukcyę obrazu Wywiórskiego p. t. „Powrót z polowania na Łosie“, oraz illustracye do „Hardych dusz“ Z. Sarneckiego. Z działu literackiego zasługuje na wyróżnienie praca Rawity p. t. „Rodzina Hurków“, nowella Krechowieckiego „Sen Kasztelana“ i studyum o esoteryźmie p. Maryana Zdziechowskiego.

* * *

„Bez pana“ powieść historyczna z XI wieku przez Sta... Praca konkursowa polecona przez Towarzystwo czytelni ludowych. Poznań 1895 r.

Powieść ta, która w ostatnich tygodniach zbogaciła katalogi czytelni ludowych nie jest bez wątpienia arcydziełem, ale może być dla nich istotnie pożytecznym nabytkiem. Odnosi się ona do czasów bezkrólewia poprzedzającego przybycie Kazimierza Odnowiciela i mniej więcej zgodnie z prawdą historyczną maluje ówczesne położenie kraju. — Naturalnie ta zgodność z historyą polega głównie na poszanowaniu ogólnie znanych faktów, — gdyż co do ścisłego zachowania kolorytu epoki, jeśli chodzi o tak odległe czasy, nie można zbyt wysokich stawiać wymagań. Nawet najcenniejsze dziełka w tym rodzaju, taka „Stara Baśń“ Kraszewskiego naprzykład, tylko dzięki wyobraźni i talentowi autora mogą wywoływać w czytelniku złudzenie prawdy, nigdy jednak nie dają pewności czy kraj, stosunki, obyczaje, pojęcia i uczucia ludzkie zostały wiernie odtworzone. W powieści „Bez Pana“ razić może cokolwiek czytelników wykształceńszych nastrój zbyt romantycznie rycerski, zabarwiony sentymentalizmem średniowiecznym, który kwitnął może na dworze prowensalskim, albo w pieśniach „minnesingerów“, którego śladów jednak nawet trudno przypuszczać w ówczesnej Polsce, jeszcze barbarzyńskiej i nawpół pogańskiej. — Jest również rzeczą więcej niż wątpliwą, czy istniała wówczas ta klasa rycerzy — rólników, wśród której główne wypadki powieści się odgrywają. — Wiadomo, iż za czasów Chrobrego ziemia uprawiana przez kmieci była własnością króla, rycerstwo stanowiło klasę odrębną i dopiero z czasem, za usługi wojenne wynagradzane przez książąt ziemią, wytworzyło stan szlachecki, wyłącznym przywilejem obrony kraju i posiadania własności ziemskiej obdarzony. Prócz tego zarzucićby można autorowi — a raczej autorce, że jak na powieść historyczną zbyt wiele miejsca przeznaczono na opisy piękności i stroju bohaterek; prywatne sprawy i osobiste uczucia usuwają na zbyt odległy plan wypadki krajowe donioślejszego znaczenia i działalność publiczną bohaterów, którzy przecież ważniejszą w społeczeństwie odgrywali rolę niż piękne a cnotliwe Bożeny oraz zalotne Dobrogniewy. —

Mimo to powieść „Bez pana“ zaszczytnie wyróżnia się z pomiędzy znacznej większości powieści dla ludu, jest zajmującą, będzie niewątpliwie poczytną, a czytelnikom, dla których jest przeznaczoną przynieść może istotnie umysłowy pożytek. Dodać należy, że tendencya jej moralna i zdrowa, że treść zajmująca nie razi nigdzie nieprawdopodobieństwem i nie przypomina zwykłych w tym dziale piśmiennictwa bajek o skrzydlatych rycerzach i zamorskich księżniczkach. — Język gładki i poprawny, miejscami nawet kwiecisty i poetyczny również na pochwalną zasługuje wzmiankę.

* * *

T. J. Gałęzowska. — „Błysk słońca“. Powieść dla młodzieży. W 8º, str. 271. Nakładem Zwolińskiego i Spółki w Krakowie. 1895 r.

(*wys.*) Zaszczytnie znana autorka powieści dla młodzieży przenosi nas ostatnim swym utworem w czasy, kiedy Napoleon I po trupach tysięcy ofiar, po gruzach kilkunastu państw i państewek Europy szedł do francuskiego tronu — w czasy, kiedy całe masy synów zgnębionej rozbiorami ojczyzny naszej, szło z tej „krainy mogił i krzyżów“ pod sztandary francuskie w nadziei, że ten uwielbiany przez wszystkie ówczesne młode umysły bohater w zamian za krew ich i trudy dłań poniesione zrobi coś dla Polski. Wylewając krew swą szli dla niego przez Apeniny, Pyreneje, Alpy, szli i tam, gdzie pieprz rośnie, by ginąć od strzał zatrutych i żółtej febry i tam, gdzie ginąć mieli od spis kozackich i mrozu. Nadzieje zawiodły — wielki Francuz nie dał Polsce nic prócz obietnic, a kiedy zaczęło się zdawać, że zamierza coś zrobić dla polskiego narodu, gwiazda jego poczęła blednąć... aż zgasła i Polakom, uczestniczącym w jego podbojach nie pozostało nic prócz ran w ciele i żalu w duszy. Powieść o patryotycznym nastroju, illustrowana bardzo ładnie, wydana bardzo starannie zaleca się czystym, gładkim językiem i zaszczyt przynosi księgarni, która ją wydała.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne Dzienniki berlińskie donoszą, że połowa Centrum za projektem „przewrotowym“ głosować nie będzie. — Prowincyonalny komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie zamianował w porozumieniu z delegatami na kandydata do sejmu pruskiego z okręgu gostyńsko-leszczyńsko-rawicko-wschowskiego, p. Maksymiljana Pokrzywnickiego z Poznania. — Położenie Hiszpanów na wyspie Kubie pogarsza się z dniem każdym. Powstańcy w wojnie podjazdowej odnoszą znaczne korzyści. — Biuro Wolffa donosi, że Koło polskie według pogłosek obiegających w parlamencie postanowiło głosować przeciw projektowi przewrotowemu.

Teatr i muzyka Koncert Sokołów, urządzony 2. maja w Poznaniu na sali Lamberta, zgromadził nader liczną publiczność i wypadł znakomicie pod każdym względem. Scena więzienna z „Dziadów“, odegrana przez pp. Trapszę, Knapczyńskiego, Jakubowskiego, Rapackiego i Sosnowskiego wywarła na słuchaczach nader silne wrażenie, a mianowicie „Improwizacya“, wygłoszona przez ostatniego z wyżej wymienionych artystów, w prawdziwy zachwyt wprawiła publiczność. Również popisy gimnastyczne pod komendą druha Gładysza, produkcye orkiestrowe pod batutą druha Zaremby, śpiew p. Rapackiego, dyalog „Rozwiedziemy się“ (Trapszo i Knapczyński) oraz fraszka sceniczna „Sprzeczka“ (panna Zimajer i p. Sosnowski) zjednały sobie frenetyczne oklaski. Redaktor pisma naszego, prezes poznańskiego Sokoła, dr. Rabski zagaił koncert okolicznościowem przemówieniem. — Ernesto Rossi zamierza urządzić szereg gościnnych występów w Warszawie. — Teatr hr. Skarbka we Lwowie zaangażował p. Antoninę Hoffmannową i p. Edmunda Rygiera na szereg gościnnych występów. — Prowincyonalne towarzystwo operetkowe p. Myszkowskiego dawać będzie przedstawienia w maju, czerwcu i lipcu w letnim teatrze lwowskim. — Sztuka H. Rovetty p. t. Marco Spada wystawiona w teatrze krakowskim nie zjednała sobie ani krytyki, ani publiczności. — Warszawski „Teatr Rozmaitości“ wystawi niebawem „Księżnę Martę“ Wiktoryna Sardou. — Aleksander Dumas ukończył nową sztukę p. t. „La Troublante.“ — Marcelina Semorich-Kochańska rozpoczęła gościnne występy w teatrze Krolla w Berlinie. — Jak paryzki Temps donosi „Balladyna“ Juliusza Słowackiego ukazać się ma w Paryżu na scenie teatru „des Poetes“ w przekładzie Wacława Gasztowta i układzie scenicznym p Teneo. — Teatr hr. Skarbka zaangażował p. Modrzejewską na kilkanaście gościnnych występów.

Z listu, otrzymanego z Rzymu przez wiedeńskiego korespondenta „Kuryera Warszawskiego“, wyjmujemy co następuje: „Odwiedziny u Siemiradzkiego; willa bardzo ładna na cichej ulicy wśród ogrodów, wcale nie odległa od środka miasta. Siemiradzki mimo przebytej influenzy, wygląda dobrze; gdyby nie mała bródka posiwiała, wygląda tak samo, jak przed 15stu laty, kiedy ofiarował w Krakowie do Muzeum „Pochodnie Nerona“. Ten spokój i jasność, które widnieją z jego obrazów, malują się na jego obliczu. Pracownia jasna, obszerna, bogata, bez sztucznych efektów, ściany pokryte cennemi dywanami, makatami; meble stylowe, rzeźbione; w witrynach prześliczne rzeczy. Przed paru dniami wysłał Siemiradzki skończone wielkie obrazy, więc w pracowni są tylko rozpoczęte. Jeden, szkic do większego obrazu, to „Chrystus błogosławiący dziatki“. Przepyszny to szkic; nieporównana słodycz w postaci Chrystusa, który trzyma dziecię na kolanach, a drugą rękę podnosi, błogosławiąc. Z jednej strony apostołowie, wzbraniający przystępu, obok grupa kobiet z dziećmi. Prześliczna jest kobieta klęcząca przy Chrystusie i druga z amforą, bo scena odbywa się przy fontannie. Drugi obraz, także jeszcze nie wykończony: scena z życia greckiego, uroczystość wieńczenia grobów, święto róż. Ten sam błękit nieba, ten spokój, ta jasność i przejrzystość przestrzeni, którą znamy w obrazach Siemiradzkiego. Trzeci obraz, epizod z czasów najścia barbarzyńców, widać willę, a obok grupę najeźdźców szukających zdobyczy“.

Hrabina Gizela von Strindberg wydała broszurę pod tytułem „Kobiety niemieckie i kult Bismarka“. Protestuje w niej zawzięcie przeciwko hołdom, składanym przez osoby jej płci żelaznemu kanclerzowi, nie dlatego, że był żelaznym, lecz że listy jego, odezwania i tysiące drobnych szczegółów życia dowodzą, iż nie żywił należnego dla kobiet poszanowania. Podczas długiego okresu swej wszechwładzy nic nie uczynił dla podniesienia stanowiska kobiety. Z tych względów hrabina Strindberg, jako zagorzała feministka, nie łączy się do chóru uwielbień dla Bismarka, jakkolwiek uznaje jego zasługi, położone dla Niemiec. Inne feministki podzielają najzupełniej jej poglądy.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. K. Wiersz jest miejscami bardzo zręczny, ale całość psuje kilka fałszywych obrazów i nadto widoczne reminiscencye z Kochanowskiego.

S. S. „Jehowa“ zdradza znamiona silnego talentu, lubo sam pomysł nie jest nowy. Zamieścić chwilowo nie możemy dla nadmiaru innego materyału.

Niezapominajka z Wrzesińskiego. Godzimy się najzupełniej na poglądy Pani, ale miernot tego rodzaju jak „Aniołku czekamy“ pojawia się tyle w pismach poznańskich, że już niemal dziwić się przestajemy i czasu nie staje na charakterystykę tandety, którą poważne organy karmią publiczność. Za pamięć o nas dziękujemy serdecznie.

Przyjaciółka Sokołów. Za uznanie dziękujemy w im. Sokołów. Myśli poruszonej przez panią udzielimy chętnie gościnności w łamach Przeglądu. O bliższych szczegółach poinformuje Panią redakcya „Kuryera Lwowskiego“ (Chorążczyzna Nr. 5).

Excelsior. W uzupełnieniu informacyi, podanej w przeszłym numerze, donosimy, że autorem t. zw. Arbeitermarseilleuse jest Jakób Audorf, ślusarz hamburgski. Po raz pierwszy piosenkę tę odśpiewano na pogrzebie Lassale'a

Sprostowanie.

Do poprzedniego numeru wkradły się następujące omyłki: 1) Pod nagłówkiem artykułu „John Murray u Bismarcka“ czytać należy zamiast „Eastem Herald“ — „Eastern Herald“. 2) W rubryce „Teatr i muzyka“ zamiast „Marco Praga“ — „Marco Spada“. 3) W „Listach z Berlina“ zamiast „w nastroju panteistyczno komicznym“ — „w nastroju panteistyczno kosmicznym“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.